

na

WINNICY

ISSN 2544-2880



Artysta plastyk Adam Bagiński, tworzący w Zielonej Górze od 1967 roku, otrzymał tytuł i statuetkę Przyjaciela Zielonej Góry 2024 w konkursie organizowanym przez nasze stowarzyszenie od czterech lat. Urodził się w Toruniu w 1940 r., na tamtejszym uniwersytecie ukończył studia plastyczne. W twórczości A. Bagińskiego dominuje malarstwo olejne i akwarele, a pejzaż i przyroda od dekad stanowią jeden ze składowych tematów jego sztuki. Przez wiele lat najczęstszym motywem w twórczości artysty był krajobraz Zielonej Góry z perspektywy Winnego Wzgórza, z rozpoznawalnymi elementami obiektów śródmieścia. Motyw ten tak bardzo zrosł się z wyobrażeniem Winnego Grodu, że obecnie jedna z powstałych wówczas akwarel jest wykorzystywana jako znak graficzny dyplomów Nagrody Kulturalnej Miasta Zielona Góra (patrz: wyżej). Z biegiem czasu w twórczości A. Bagińskiego następowała ewolucja formuły

malarskiej i artysta zaczął stopniowo odchodzić od figuralnej rzecz przedstawić abstrakcyjnych. Jego płótna i akwarele można spotkać w wielu zielonogórskich domach i niemal w każdym urzędzie, w kawiarniach, galeriach, firmach. A. Bagiński bywa wymieniany jako pierwszy artysta plastyk, gdy pada pytanie o najpopularniejszych twórców zielonogórskich.

Co stworzył A. Bagiński, można było zobaczyć w bibliotece im. Norwida, gdzie przez cały luty br. była czynna jubileuszowa wystawa retrospektywna. Prace artysty są w kolekcjach prywatnych i muzealnych na całym świecie, między innymi w Niemczech, Holandii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie. Duże zbiory znajdują się w Muzeum Ziemi Lubuskiej, Bibliotece Uniwersytetu Zielonogórskiego i bibliotece im. Norwida w Zielonej Górze.



# ZIELONA GÓRA

fot.  
Adam Hresczyk  
Daniel Jung  
Krzysztof Koziołek



W NUMERZE:

<i>Od redakcji</i>	
Zielona Góra	2
W czepku urodzona	3
<i>Nad Złotą Łączą</i>	
80 lat temu – 14 lutego 1945 roku	4
Winiarska stolica województwa	5-9
Niekorzystna reforma w 1975 roku	10
Dogadali się z pomocą biskupa	11
<i>Proza i poezja</i>	
Sonata	12-15
(Nie)winne haiku	16
<i>Recenzje i omówienia</i>	
Szczęście z geranium	17
Miasto wprost z ulotnej pamięci	18
Spojrzenie na przeszłość	19
<i>Ponad słowami</i>	
Dwaj co kochali Litwę	20
11 konkurs literacki o tematyce zielonogórskiej	21
Bardzo krótki żywot dziennika	22
Do czytania na ekranie komputera	23
<i>Adresy</i>	
Stary Rynek 14 i 15	24
Amfiteatr czeka wielka przebudowa	25-26
Mobilność w elektrycznym wydaniu	27
<i>Portrety</i>	
Koryfeusz lubuskiej regionalistyki	28-39
Ojciec, nie wywalaj tego	29-30
Spokojnie, bez nas nie zaczną	31-32
Wilk kalwiński	33
<i>Jak zostałem zielonogórzaninem</i>	
Pamięć emeryta bywa zawodna	34-37
<i>Kronika</i>	
Od jesieni do wiosny	38
Zielona Góra	39
<i>Gdzie indziej</i>	
Jak mała przychodnia stała się wielkim centrum	40

## W czepku urodzona

Miasta są jak ludzie. Jedne mają więcej szczęścia, inne mniej. Zielona Góra należy do tych pierwszych. Nazwa odpowiada fotografii: od wiosny do jesieni jest zielona, zimą wzgórza bywają oprószone śniegiem. Ostatnia wojna nawet jej nie drasnęła. W 1950 roku została podniesiona do rangi stolicy dużego województwa, potem okrojonego i znowu dużego. W latach 1980-1994 była siedzibą biskupa diecezjalnego diecezji wrocławskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Od 1992 r. jest stolicą diecezji Kościoła rzymskokatolickiego. W 1965 r. stała się miastem akademickim, a od 2001 jest ośrodkiem uniwersyteckim. Dziesięć lat temu wysunęła się na ósme miejsce wśród największych polskich miast pod względem powierzchni. W porównaniu z 1939 r. prawie pięciokrotnie zwiększyła liczbę mieszkańców. Jest największym miastem w regionie lubuskim, na 24 miejscu w kraju.

Również wcześniej miała dużo szczęścia i nie wypadła sroce spod ogona. W 1923 r. krótko była siedzibą osobnych administracji powiatu ziemskiego i grodzkiego. Potem, też na niedługo, władze prowincji tu ulokowały niektóre urzędy wspólne dla powiatu zielonogórskiego i kożuchowskiego, stała się więc miastem więcej niż powiatowym.

Mam prawo sądzić, że nawet wybór miejsca najpierw na osadę, potem na miasto także nie był przypadkowy. Ten urzędnik księstwa śląskiego, który wskazał Ceglaną Górę, wokół której przybyśsze z Flandrii zaczęli stawiać domy, musiał przeczekać, że na pobliskich wzgórzach będą dobrze się czuły krzewy winorośli. I że po wiekach na pytanie: Z czego jest znana Zielona Góra? – jego potomni usłyszą, że to jest stolica polskiego wina. O Winobranium rozmawiają nauczycielki z dziećmi nie tylko w podstawówkach, lecz i w przedszkolach.

Nigdzie nie spotkałem rozsądnego wyjaśnienia, co przekonało Georga Beuchelta w 1876 r., żeby kupić padające zakłady budowy maszyn w Zielonej Górze. Na pewno dzięki jego odważnej decyzji przedwojenni zielonogórzanie mieli pracę na miejscu, a miasto stało się sławne i zasobne. Firma Beuchelta budowała mosty, dworce kolejowe, wagony, nawet autobusy i elementy uzbrojenia. Jej polski następca Wagmo/Zastal także nie zasypiał gruszek w popiele. Zresztą i inne branże przemysłowe w tamtej Zielonej Górze wiedziały, co w trawie piszczy, o czym świadczą takie nazwy historyczne jak Falubaz/Zgrzeblarki, Polska Wełna czy Przylep.

Mającą w tym roku 80 lat polska Zielona Góra nie należy do starej Ziemi Lubuskiej. Leży na północy historycznego Śląska, który sięga do Świebodzina i Krosna Odrzańskiego. Od 75 lat Zielona Góra jest stolicą województwa zielonogórskiego/lubuskiego. Może więc najwyższa pora uznać, że tu, na obrzeżach Pomorza Zachodniego, Marchii Brandenburskiej, Łużyc, Śląska i Wielkopolski istnieje nie tylko nowa wspólnota administracyjna, lecz i region, wszak jako województwo trwa od 75 lat. Jak nazwać ten region? Może – Nowa Ziemia Lubuska.

Byłoby: Nowa Ziemia Lubuska warta zachodu.

Alfred Siatecki

# 80 lat temu – 14 lutego 1945 roku

Do połowy lutego 1945 roku niemiecki Grünberg był uroczym i spokojnym miasteczkiem położonym wśród winnic i ogrodów. Jak wspominają byli mieszkańcy, wojna zaczęła się dla nich 14 lutego 1945 r., kiedy do miasta wkroczyły wojska sowieckie przynosząc strach, spustoszenie, panikę i niepewność wśród pozostałych w mieście niespełna 4 tys. grünberczyków.

Wydawało się, że miasto, a przede wszystkim mieszkańcy byli na tę okoliczność przygotowani. Wieści z frontu nie zostawiały złudzeń. Sowieci parli na zachód, zajmując poszczególne miasta regionu, więc lada dzień mieli dotrzeć i do Grünbergu. Ten, kto mógł i miał dokąd, ewakuował się, reszta mieszkańców Winnego Grodu została w swoich domach z trwogą, strachem i niepokojem oczekując nieuniknionego. Napięcie i przygnębienie wśród mieszkańców potęgowały informacje o postanowieniach zakończonej 11 lutego konferencji w Jałcie. W jej wyniku Polska straciła ziemie na Wschodzie, a w zamian za to miała otrzymać rekompensatę na Zachodzie.

Jak dokładnie przebiegał ten dzień, wiemy z listu księdza Georga Gottwalda. Ks. Gottwald był ważną postacią dla grünberczyków. Urodził się w Breslau 13 lipca 1884 r., do Grünbergu przybył w 1928 r. Został tu proboszczem parafii Świętej Jadwigi. Jak wspominał w swoim liście, 14 lutego była to Środa Popielcowa. Do miasta od strony Nowej Soli zbliżała się 253. Dywizja Strzelecka 21. Korpusu Strzeleckiego Armii Czerwonej. Ksiądz wyszedł na przedmieścia, w okolicę ulicy Wrocławskiej, naprzeciw wojsk z białą flagą sugerując, iż miasto

się poddaje, a mieszkańcy nie są wrogo nastawieni i nie zamierzają się bronić. Ponadto niektórzy wywiesili w oknach białe flagi, by – w ich mniemaniu – uniknąć pogromu. Sowieci odstąpili od ataku na miasto, ale możemy sobie tylko wyobrazić strach i obawy o życie rodzin i dobytek pozostałych w mieście grünberczyków w obliczu zbliżającej się hordy zwyrodnialców. Bo niewątpliwie docierały do nich zewsząd informacje o bestialstwie i zewierzęczeniu żołnierzy Armii Czerwonej na zajętych terenach. Niestety nie inaczej było i tutaj. Koszmar stał się faktem. „Z 35 tysięcy mieszkańców zostało w Zielonej Górze 4 tysiące. Według radzieckich relacji miasto i powiat plądrowano przez trzy dni, w rzeczywistości trwało to dłużej. Miasto pełne było pożarów, całe frontowe części ulic uległy zupełnemu spaleni. Do połowy czerwca nie było w mieście ani światła, ani wody, a kilkanaście studni nie starczało dla wszystkich. Przedsiębiorstwo wodociągów i elektrownia były zniszczone, stacja paliw spalona – zanotował ks. Gottwald. – Miasto rozbrzmiewało dniami i nocami krzykami bóleści cierpiących, gwałconych mieszkańców, kobiet i dziewcząt, których nie chroniło żadne prawo. Do mojego kościoła zbiegała

się duża ilość kobiet i dziewcząt, które były gwałcone po 20-30 razy pod rząd. Mówiono mi o morderstwach na tle seksualnym, rozpruwaniach brzucha, wycinaniu intymnych części ciała, obcinaniu piersi. Trupów było mnóstwo, ciągle były pochówki. Jak

straszne były to okrucieństwa, może uświadomić fakt, że z około 4 tysięcy pozostałych w Zielonej Górze mieszkańców w pierwszych czternastu dniach – 500 osób popełniło samobójstwo (były to całe rodziny, kobiety, mężczyźni i dzieci), między innymi lekarze, wysoko postawieni urzędnicy sądowi, fabrykanci i zamożni mieszkańcy”. Niewątpliwie postawa i odwaga ks. Gottwalda uchroniła Grünberg przed totalnym zniszczeniem i dzięki temu miasto ocalało. Gorzej było z mieszkańcami i ich dorobkiem. Wyposażenia zakładów i park maszynowy w późniejszym czasie Sowieci wysyłali w głąb Związku Sowieckiego. Pierwsi polscy mieszkańcy uruchamiający później produkcję, np. w Wagmo/Zastalu mówili o zastanym stanie zakładu: „To była straszna ruina. Wyszabrowane prawie wszystkie hale, puste, ściany i szyby porozbijane, maszyny powyciągane i poniszczone. Na początku nie było więc produkcji, a tylko porządkowanie”. W pierwszych lutowych dniach po przejściu miasta wojsko rozzuchwalone było poprzez konsumpcję rodzimych trunków. „Wielkim nieszczęściem dla Grünbergu były zasoby wina, sektu i koniaku, a także wódek różnych rodzajów – wspominał ks. Gottwald. – Grünberg jako region uprawy winogron i produkcji wina przodował w śląskim przemyśle wyrobu napojów alkoholowych. Do tego dochodziły jeszcze znane wina z Bremy i innych winiarskich rejonów północnych Niemiec, które w czasie wojny sprowadzano do Zielonej Góry. Brutalność i orgie wiecznie urzędujących radzieckich żołnierzy przekraczały wszelkie wyobrażenia. Okrucieństwa i gwałty w niezliczonej ilości miały miejsce na otwartych ulicach i placach”.

14 lutego 1945 r. znamienna data w dziejach Grünbergu/Zielonej Góry. Miasto było niemieckie, ale od tego dnia zmieniły się na zawsze jego losy. Losy miasta i jego mieszkańców.



1945 r. – skrzyżowanie dzisiejszych ul. Stefana Żeromskiego, Kupieckiej i al. Niepodległości. W tle budynek dawnego domu towarowego, obecnie zajmowany przez bank PKO.

Ryszard Zaradny

## Winiarska stolica województwa

Wybór Zielonej Góry na ośrodek dyspozycji nie jest przypadkiem, ale podyktowany, z jednej strony centralnym położeniem i jego nadrzędną rolą gospodarczą i kulturalną, jaką spełnia w stosunku do przyległych powiatów, z drugiej tym, że jest jedynym miastem leżącym na skrzyżowaniu głównej magistrali kolejowej, z główną drogą kołową – łączącymi Szczecin z Górnym i Dolnym Śląskiem oraz Czechosłowacją.

Druga wojna światowa przyniosła wielorakie skutki dla funkcjonowania świata, w tym oczywiście także Polski. Oprócz ogromnych strat ludnościowych i materialnych nastąpiła zmiana granic. Wielcy ówczesnego świata Franklin Delano Roosevelt, Winston Churchill i przede wszystkim Józef Stalin narzucili nowe strefy wpływów. Granice państwa polskiego przesunięte zostały na zachód: Kresy Wschodnie, zgodnie z linią Curzona, włączone zostały do Związku Radzieckiego, a rekompensatą były ziemie dotychczas niemieckie na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej. Terytorium Polski zmniejszyło się z około 390 tys. km kw. do 312 tys., z czego 210,8 tys. km kw. (67,6 proc.) stanowiły ziemie dawne i 100,9 tys. km kw. ziemie zachodnie i północne (32,4 proc.). Niemcy, które przegrały wojnę, straciłyby – stosunkowo biorąc – mniejsze terytorium niż Polska, bowiem Polska straciła 20 proc. swego terytorium, podczas gdy Niemcy tylko 18 proc. Istotną zmianą dla bezpieczeństwa Polski było skrócenie granicy z Niemcami z 1912 do 467 km.

W trakcie konferencji „wielkiej trójki” w Jałcie, w wydanym 11 lutego 1945 roku komunikacie uznającym przyznanie Polsce terytorium kosztem Niemiec wojska radzieckie kontynuowały ofensywę, której celem było opanowanie w całości ziem polskich w granicach z 1939 r. oraz prowadzenie operacji na terenach III Rzeszy (m.in. w Prusach Wschodnich, na Pomorzu i Śląsku). Państwowy Komitet Obrony ZSRR 20 lutego powziął uchwałę upoważniającą administrację polską do działania na ziemiach polskich, jak również na ziemiach niemieckich, które miały zostać włączone do Polski.

Na początku lutego Rada Ministrów Rzeczypospolitej powołała

### Biuro Ziem Zachodnich,

którego zadaniem było opracowanie koncepcji ustrojowej administracji, dokonanie podziału terytorialnego ziem zachodnich i północnych Polski, które zapewniałoby szybkie i sprawne zintegrowanie tych obszarów z resztą kraju. 14 marca 1945 r. Rada Ministrów powzięła uchwałę o dokonaniu prowizorycznego podziału administracyjnego, powołując jednocześnie pełnomocników rządu dla poszczególnych



Odznaka honorowa Za Zasługi w Rozwoju Województwa Zielonogórskiego, ustanowiona w 1962 r.

jednostek terytorialnych – okręgów. Na podstawie tej uchwały ziemie zachodnie i północne podzielono na cztery okręgi: Śląsk Opolski, Śląsk Dolny, Pomorze Zachodnie i Prusy Wschodnie. Dążąc do uporządkowania podziału terytorialnego kraju, w tym przede wszystkim obszarów nowo przyłączonych, w czerwcu 1945 r. w Ministerstwie Administracji Publicznej utworzono Referat Podziału Terytorialnego Państwa. Do głównych zadań jednostki należało m.in. sprawy związane ze zmianami w podziale administracyjnym państwa na województwa, powiaty i gminy, jak również kwestia obszaru terytorialnego terenowych jednostek administracji. Jednocześnie w Wielkopolsce przygotowywane były plany zagospodarowania i zasiedlania ziem do Odry i Nysy Łużyckiej m.in. przez Polski Związek Zachodni na długo przed zakończeniem II wojny światowej.

7 lipca 1945 r. podjął uchwałę o nowym podziale terytorialnie-administracyjnym ziem zachodnich i północnych wyłączając z Pomorza Zachodniego i Dolnego Śląska powiaty: Piła, Trzcianka, Strzelce Krajeńskie, Gorzów Wielkopolski, Skwierzyna, Rzepin, Sulęcín, Międzyrzecz, Babimost, Krosno Odrzańskie, Sulechów, Świebodzin, Wschowa, Gubin, Zielona Góra i podporządkowującą je ich wojewodzie poznańskiemu.

Wprowadzony podział administracyjny budził liczne kontrowersje i nie sprzyjał strukturalnemu zespoleniu ziem zachodnich i północnych z pozostałą częścią kraju. Jednakże pozytywnym aspektem było niewątpliwie zmniejszenie w okręgach jednostek szczebla obwodowego (powiatowego), co sprzyjało efektywniejszemu zarządzaniu sprawami publicznymi na podległym terenie. Uwzględniając specyfikę procesów społecznych na tych terenach oraz dążąc do przyspieszenia procesów integracyjnych, a jednocześnie scentralizowania systemu zarządzania nowymi ziemiami dekretem z 13 listopada 1945 r. utworzono Ministerstwo Ziem Odzyskanych.

Zmienność podziałów terytorialnych wynikała również z braku dokładnych planów, danych statystycznych,

szczegółowych opracowań, które mogłyby ukształtować w miarę stały układ podziału terenu z uwzględnieniem wielkości czynników (gospodarczych, społecznych, komunikacyjnych, historycznych) tworzących jego podstawę. Proces kształtowania się podziału administracyjnego i terytorialnego na tych ziemiach przebiegał odmiennie niż na ziemiach dawnej Polski, bowiem ziemie te należały do innego państwa, funkcjonowały w odmiennej strukturze terytorialnej, gospodarczej i społecznej. Ważnym czynnikiem wpływającym na kształt struktury były również nadzwyczajne warunki, w których miała istnieć i działać administracja publiczna, tj. odbudowanie podstaw życia po okresie wojennym.



Mapa administracyjna Polski w latach 1946-1950, źródło: Wikipedia

Zasadnicze zmiany w podziale terytorialnym ziem zachodnich i północnych zaistniały w 1946 r. rozporządzeniem Rady Ministrów z 29 maja 1946 r. utworzono województwa olsztyńskie, szczecińskie i wrocławskie (35 powiatów dotychczasowego okręgu administracyjnego Dolnego Śląska). 13 powiatów Ziemi Lubuskiej włączono do województwa poznańskiego. Celem było usprawnienie administracji na ziemiach odzyskanych. Wprowadzono nowe jednostki organizacyjne – ekspozytury urzędów wojewódzkich, w tym w Gorzowie – dla województwa poznańskiego, obejmującą 13 powiatów Ziemi Lubuskiej (babimojski, gorzowski, gubiński, krośnieński, międzyrzecki, pilski, rzepiński, skwierski, sulęciński, strzelecki, świebodziński, wschowski, zielonogórski).

Taki podział administracyjno-terytorialny przetrwał do 1950 r. Postępujący proces integracji na ziemiach odzyskanych, odbudowa gospodarcza, kończący się proces zasiedlania tych terenów i ujednoczeniu struktury administracyjnej, a także zmiany polityczne sprawiły, iż postanowiono zakończyć odrębność zarządu ziem zachodnich i północnych. Wyrazem tego formalnie była ustawa z 11 stycznia 1949 r.

o scaleniu zarządu ziem odzyskanych z ogólną administracją państwową.

Kolejna zmiana terytorialna obejmująca obszary ziem odzyskanych nastąpiła na podstawie ustawy z 26 czerwca 1950 r. powołującej województwa: koszalińskie, opolskie i zielonogórskie. Wyodrębnienie nowych województw nastąpiło w wyniku podziału największych województw: poznańskiego (39 244 km kw. – 131 miast i 340 gmin), szczecińskiego (30 252 km kw. – 74 miasta i 230 gmin) i wrocławskiego (24 740 km kw. – 82 miasta i 276 gmin). Stanowiły one prawie 1/3 terytorium i ilości gmin w ówczesnej Polsce i były nieproporcjonalnie duże w stosunku do pozostałych województw.

Istotne znaczenie miał stworzony system scentralizowanego państwa (ustawa z 20 marca 1950 r. o terenowych organach jednolitej władzy państwowej). Wypełnianie funkcji władczych w terenie wymagało stałego przekazywania dyrektyw i kontroli, a dotychczasowy układ terytorialny i duże odległości pomiędzy regionalnym centrum a terenem, bardzo słaba infrastruktura komunikacyjna i łączności oraz brak środków transportu znacząco to utrudniał.

### W przypadku województwa zielonogórskiego

14 powiatów wyłączono z województwa poznańskiego i sześć z wrocławskiego. Pod względem historycznym, a nawet geograficznym większa część województwa zielonogórskiego miała charakter śląski, bowiem wykreowany nowy region składał się z części historycznej Ziemi Lubuskiej (Sulęcina, Rzepina, Słubice) i peryferyjnych ziem historycznych Wielkopolski (Piła, Trzcianka, Wschowa, Skwierzyna, Międzyrzecz, Babimost), Dolnego Śląska (Zielona Góra, Sulechów, Nowa Sól, Świebodzin, Krosno Odrzańskie, Głogów, Szprotawa, Kożuchów, Żagań), Dolnych Łużyc (Żary, Gubin i Lubsko) i Nowej Marchii (Gorzów Wlkp. i Strzelce Krajeńskie).

Kwestia podziału administracyjnego ziem odzyskanych była rozpatrywana przez całe pięciolecie do ostatecznego rozstrzygnięcia w 1950 r. Należało brać pod uwagę różne okoliczności związane początkowo z zagmatwaną sytuacją wojenną i przesiedleńczą. Tereny te miały swoją specyfikę wynikającą z przynależności do innego systemu kulturowego i politycznego. Napływała ludność z innego systemu kulturowego obciążonego traumą wojenną i utratą swojej małej ojczyzny, rozbiciem więzów społecznych oraz wrzuceni na niepewny byt. Problemy te były zupełnie odmienne od tych wymagających rozwiązania na starych ziemiach. Stąd też różne koncepcje zgłaszane przez podmioty mające na uwadze przede wszystkim własne interesy, *vide* władze poznańskie. Niebagatelne znaczenie miała walka polityczna, jaka toczyła się w kraju. Dominacja obozu lewicy dążąca do wyeliminowania wpływów obozu londyńskiego wpływała na decyzje dotyczące funkcjonowania i organizowania ziem zachodnich i północnych. Temu służyło też utworzenie i zakres kompetencji Ministerstwa Ziem Odzyskanych,

ograniczające kompetencje ministerstw kierowanych przez londyńczyków.

W maju 1946 r. rząd wyłączył Ziemię Lubuską z obszaru ziem odzyskanych i przyłączył ją do województwa poznańskiego. Jednocześnie wydał rozporządzenie o utworzeniu Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego w Gorzowie Wlkp. dla Ziemi Lubuskiej, która w listopadzie 1946 r. rozpoczęła swoją działalność, mimo sprzeciwu wojewody poznańskiego (wojewodowie wywodzili się ze Stronnictwa Pracy), ale przy wsparciu Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Partii Robotniczej. Kierownikiem ekspozytury został z inicjatywy MZO organizator polskiej administracji w Gorzowie, działacz PPR i dotychczasowy starosta gorzowski Florian Kroenke. Oddane pod jego jurysdykcję powiaty lokowały Gorzów centralnie.

### W Gorzowie kiełkowała myśl

o utworzeniu na tym terenie odrębnego samodzielnego województwa. Jak podaje Hieronim Szczegółą, na początku 1947 r. zrodziła się w Gorzowie myśl utworzenia Podkomitetu Wojewódzkiego PPR. Opracowano szczegółowy projekt (włącznie z obsadą personalną), omówiono go na zjeździe aktywu partyjnego z terenu Ziemi Lubuskiej, jednak projekt ten nie uzyskał aprobaty Komitetu Centralnego PPR, uznając go tymczasowo za niecelowy (pismo KC PPR z 4 listopada 1947 r.).

Projektując taką wizję zdawano sobie sprawę ze słabości potencjału ekonomicznego planowanego województwa i bez jej powiększenia o uprzemysłowione północne powiaty z Dolnego Śląska mogłoby sobie nie poradzić. Ideę powołania samodzielnego województwa lubuskiego z siedzibą w Gorzowie wspierało Ministerstwo Ziem Odzyskanych, którym kierował Władysław Gomułka, jedna z najważniejszych osób w strukturach ówczesnych władz krajowych. W kraju zmieniała się jednak sytuacja polityczna. W latach 1947-1949 zlikwidowano antykomunistyczną opozycję polityczną i skonsolidowano lewicę prostralinowską, powołując Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. W. Gomułka został odsunięty od władzy, a Ministerstwo Ziem Odzyskanych zlikwidowane, bowiem ustały przyczyny dla których zostało powołane.

Prace studialne nad nowym podziałem administracyjnym ziem odzyskanych rozpoczęto już w 1948 r. W tym czasie w Poznaniu zmieniło się niechętnie stanowisko wobec projektów usamodzielnienia się Ziemi Lubuskiej. W „Memoriale w sprawie utworzenia województwa lubuskiego z siedzibą w Zielonej Górze” z 5 kwietnia 1949 r., opracowanym przez Instytut Zachodni w Poznaniu, stwierdzono, iż „W ramach województwa poznańskiego Ziemia Lubuska, dzięki politycznemu i administracyjnemu powiązaniu oraz kulturalnemu oddziaływaniu Poznania (...) posiada już skryształowany charakter jako jednostka o strukturze ekonomicznej i demograficznej (...) niezbędnym jest utworzenie tam ośrodka dyspozycji politycznej i administracyjnej”. W konkluzji

postulowano: „Wybór Zielonej Góry na ośrodek dyspozycji nie jest przypadkiem, ale podyktowany, z jednej strony centralnym położeniem i jego nadrzędną rolą gospodarczą i kulturalną, jaką spełnia w stosunku do przyległych powiatów, z drugiej tym, że jest jedynym miastem leżącym na skrzyżowaniu głównej magistrali kolejowej, z główną drogą kołową – łączącymi Szczecin z Górnym i Dolnym Śląskiem oraz Czechosłowacją”.

Sytuacja ta sprzyjała wydzieleniu na ziemiach zachodnich nowego bytu administracyjnego, który przejąłby funkcje zlikwidowanego MZO. Z urzędu kierownika ekspozytury usunięto również F. Kroenkego, jego obowiązki przejął 14 stycznia 1949 r. Jan Musiał z zadaniem przygotowania przyszłych struktur wojewódzkich. O prowadzonych pracach nad nowym podziałem administracyjnym świadczy pismo Ministerstwa Administracji Publicznej z 10 marca 1949 r., w którym wśród wielu wariantów uwzględniano już ewentualne województwo lubuskie. W tym czasie musiała zapaść już decyzja polityczna, bowiem organy partyjne i bezpieczeństwa publicznego rozpoczęły konkretne przygotowania organizacyjne. Jeszcze przed przyjęciem ustawy o zmianach podziału



Mapa administracyjna Polski w latach 1950-1975, źródło: Wikipedia

administracyjnego podjęto prace przygotowawcze nad utworzeniem wojewódzkiej instancji partyjnej, powołując Komisję Organizacyjną Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Zielonej Górze. Sześciuosobowa komisja rozpoczęła pracę 16 maja 1950 r. w siedzibie po Urzędzie Skarbowym. Kadry wspomagające utworzenie KW przybyły z Wrocławia, Poznania i Bydgoszczy. Komisja działała na prawach egzekutywy do I Konferencji Wojewódzkiej (odbyła się 14-15 października 1950 r.), a jej zadaniem było kierowanie pracą partyjną w województwie, zorganizowanie aparatu partyjnego KW i przygotowanie konferencji. Początkowo komisją kierował organizujący aparat partyjny Jan Kozłowski, później Władysław Szlafelek, a od 19 czerwca Feliks Lorek, późniejszy jej I sekretarz.

4 lipca KW PZPR w Poznaniu protokolarnie przekazał komisji 12 powiatowych organizacji partyjnych, a 10 lipca KW we Wrocławiu pięć powiatowych organizacji.

### Projektowany status miasta wojewódzkiego

nastręczał znaczne problemy, szczególnie lokalowe i kadrowe. W Zielonej Górze w 1950 r. mieszkali 31 634 osoby (w 1939 r. w Grünbergu żyło 26 076). W wyniku działań wojennych miasto nie zostało zniszczone, ale ludność wzrosła o 5 tys., a w tym czasie nie zbudowano żadnego nowego mieszkania (nie było także pieniędzy na niezbędne remonty).



Jan Musiał  
Przewodniczący WRN  
w Zielonej Górze

*Jan Musiał (1908-1980), przewodniczący Prezydium WRN w Zielonej Górze w latach 1950-1951, potem przeniesiony na równorzędne stanowisko do Koszalina*

Antoni Punda, który 26 maja 1950 r. otrzymał nominację na szefa Delegatury MBP. Zgłaszane potrzeby lokalowe były ogromne i określono je na 500 lokali. Z perspektywy czasu skala oczekiwań nie dziwi ze względu na rolę, jaką pełnili w ówczesnym nadal kształtującym się systemie politycznym. W szczególności interesowały ich wyremontowane budynki szpitalne przy ulicy Zyty oraz ówczesnej ulicy Stalina (obecnie al. Niepodległości). Ostatecznie 10 lipca akceptowano przekazanie budynków dla WUBP. W piśmie do Zarządu Miejskiego 19 kwietnia 1950 r. potrzeby mieszkaniowe określono na 339 mieszkań (podając dokładne adresy, nazwiska i imiona aktualnych lokatorów oraz ich zawód i miejsce pracy), a już w lipcu domagano się od władz miasta, jak podaje Bohdan Halczak, 1000 mieszkań dla swych pracowników. Wymagania te oczywiście nie były możliwe do spełnienia. Oficjalnie WUBP rozpoczął swoją działalność 15 sierpnia 1950 r.

Potrzeby lokalowe miały także instytucje partyjne i administracyjne. Kolejną „ofiara” tworzenia instytucji wojewódzkich były szkoły, bowiem na potrzeby Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej postanowiono przejąć budynki szkolne zlokalizowane wokół pl. Słowiańskiego, a mianowicie: Gimnazjum i Liceum Handlowe, Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych, Szkoła Podstawowa nr 1 i Szkoła Podstawowa nr 3. W czerwcu 1950 r. został sporządzony w Zielonej Górze wykaz 31 instytucji społeczno-politycznych i gospodarczych,

które złożyły wnioski o przydział 496 izb na pomieszczenia biurowe i mieszkania dla pracowników. Ponieważ w ówczesnej sytuacji nie było także żadnych możliwości budowania nowych domów, to kolejny raz dokonywano weryfikacji przyznanych mieszkań i ilości izb przypadających na jedną osobę, a finalnie zmniejszono wielkość powierzchni mieszkalnej przypadającej na osobę do 8 mkw. Problem pomieszczeń dla urzędów rozwiązano przez przeniesienie niektórych instytucji do innych miejscowości, a w zajmowanych przez nie budynkach umieszczono instancje wojewódzkie. Między innymi Szpital Powiatowy, oprócz oddziału położniczego, przeniesiono do Sulechowa, a Zarząd Okręgu Lasów Państwowych do Żar. Do innych miejscowości skierowano również kilka szkół zawodowych.

Dla rozwiązania tych problemów powołano Komisję Mieszkaniową KW PZPR, która utworzyła tzw. trójki robotnicze, weryfikujące wykorzystanie lokali mieszkalnych w oparciu o kryterium klasowe. Według dyrektywy tejże komisji klasowość miała polegać na anulowaniu nadanych praw własności na domy „dla prywatnej inicjatywy i różnych innych niepożądanych elementów podlegających wysiedleniu” (brano pod uwagę Kozuchów, Żagań i Szprotawę oraz dalekie gminy). Działania te nosiły kryptonim

### Akcja 0

i nie spełniły oczekiwanych rezultatów, spotykając się z negatywnymi odczuciami mieszkańców, którzy ponosili skutki awansu miasta. Wstrzymano także wysiedlanie rzemieślników niezbędnych dla funkcjonowania miasta, przede wszystkim prowadzących piekarnie, rzeźnictwa czy zakłady szewskie. Panaceum na rozwiązanie problemu była decyzja dotycząca lokali we wsiach w promieniu 10 i 20 km, które miały być zapleczem mieszkaniowym dla pracowników instytucji wojewódzkich. Uznano, iż niewielka odległość umożliwi im dojazd do pracy. Wykoncyrowano, że w promieniu 30 km są jeszcze możliwości pomieszczenia 1200 rodzin, w tym także uwzględniano pozyskanie około 300 mieszkań w Nowej Soli i przeniesienie mieszkańców do Kozuchowa.

Pojawił się jednak poważny problem legalności działań wysiedleńczych. W warunkach ówczesnie panującego systemu politycznego rozstrzygnięto go decyzją wydaną przez Jerzego Morawskiego, sekretarza KC PZPR, i przekazanie ich legalizacji przez Miejską Radę Narodową w Zielonej Górze. Brak dokumentacji nie pozwala stwierdzić, ile osób wysiedlono z miasta w 1950 r. B. Halczak, powołując się na protokół z obrad Komisji Organizacyjnej KW PZPR 19 czerwca 1950 r., podaje, że wysiedlenia umożliwiły uzyskanie tylko 90 mieszkań. Natomiast zdaniem H. Szczegóły wysiedlono kilkaset rodzin, wśród nich było wielu zasłużonych dla miasta pionierów mieszkających od 1945 r. Istotnym problemem ograniczonych możliwości wykwaterowań mieszkańców był brak mieszkań zastępczych dla wysiedlanych rodzin (zazwyczaj i tak o znacznie gorszym standardzie).

Utworzone ustawą z 28 czerwca 1950 r. województwo zielonogórskie nawiązało do koncepcji Ministerstwa Ziemi Odzyskanych sprzed czterech lat – składało się z 17 powiatów o łącznym obszarze 14 500 km kw. Z ogólnej liczby 556 tys. mieszkańców, 205 tys. mieszkało w miastach. Województwo dzieliło się na 118 gmin, 1162 gromady i 35 miast, a jego powierzchnia stanowiła około 5 proc. powierzchni kraju.



Decyzją polityczną został wykreowany nowy region, składający się z części historycznej Ziemi Lubuskiej, peryferyjnych ziem historycznych Wielkopolski, Dolnego Śląska, Dolnych Łużyc i Nowej Marchii. Takie zmiany sprawiły, że Zielona Góra uzyskała centralne położenie w nowym regionie, natomiast Gorzów znalazł się na jego peryferiach.

Obydwa ośrodki miały porównywalny potencjał społeczny i gospodarczy. Rozstrzygnięcie takie było rozczarowujące dla Gorzowa. Pojawiły się nawet spiskowe teorie, że było to związane z „ukaraniem” za ulokowanie administracji biskupiej w mieście nad Wartą. Bardziej sensowną koncepcję przedstawił H. Szczegółka, iż decyzja o zmianie lokalizacji stolicy regionu ułatwiała wymianę kadry urzędniczej w ramach przeprowadzanych czystek politycznych, bowiem administracja terenowa miała już funkcjonować według zasad zawartych w ustawie o terenowych organach jednolitej władzy państwowej z 20 marca 1950 r. Tym niemniej aparat urzędniczy gorzowskiej ekspozytury stanowił trzon nowo organizowanego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze, wzmocniony grupą pracowników z byłego Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego.

### 8 lipca 1950 r.

w sali teatru miejskiego odbyła się pierwsza sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze. W imieniu Rady Państwa sesję otworzył wicemarszałek Sejmu Wacław Barcikowski. Pierwszej sesji WRN przewodniczyła Leokadia Żmudzińska, a swoje przemówienie wygłosił ówczesny wicepremier Aleksander Zawadzki. Kierownik ekspozytury i wicewojewoda poznański Jan Musiał został na pierwszej sesji wybrany na przewodniczącego Prezydium WRN. W skład Prezydium WRN weszli: Stanisław Garwiński i Jan Furman jako wiceprzewodniczący, Józef Ziarnkowski – sekretarz i Franciszek Wachholz – członek.

Powołano również stałe komisje WRN: finansów, budżetu i planu (przewodnicząca L. Żmudzińska), gospodarki komunalnej i mieszkaniowej (Ludwik Drygas), oświaty i kultury (Stefan Wojtaś), rolnictwa i leśnictwa (Stanisław Bartoszewski), budownictwa (Franciszek Królik), komunikacji (Mikołaj Rybakon), zdrowia (Ludwik Nieruchalski), pracy i pomocy społecznej (Eugeniusz Romanowski) oraz handlu (Władysław Matyja). Ogółem w skład komisji weszło 91 radnych i 33 osoby spoza rady. Wszystkie komisje powołano w niepełnym składzie, tj. poniżej 15 członków. Komisje: handlu, komunikacji i budownictwa liczyły zaledwie po siedmiu członków.

W skład pierwszej zielonogórskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej weszły 102 osoby. Pierwszych radnych delegowały następujące partie i organizacje: Polska Zjednoczona Partia Robotnicza – 18, Zjednoczone Stronnictwo Ludowe – 12, Stronnictwo Demokratyczne – 3, Okręgowa Rada Związków Zawodowych – 13, Związek Samopomocy Chłopskiej – 9, Związek Młodzieży Polskiej – 5,

Liga Kobiet – 5 i Wojsko Polskie – 1. Ponadto w skład WRN weszło po dwóch przedstawicieli powiatowych i miejskich rad narodowych w Gorzowie i Zielonej Górze.

Utworzenie województwa ze stolicą w Zielonej Górze miało bardzo istotny, o ile nie decydujący wpływ na rozwój miasta. Powstało cały szereg wojewódzkich instytucji o charakterze decyzyjnym, co spowodowało wydatne skrócenie drogi dla władz miasta. Samo miasto zyskiwało na znaczeniu, wystąpił napływ kadr nie tylko partyjno-administracyjnych, ale także z kręgu kultury, których Zielona Góra nie posiadała i nie mogła ich zapewnić. Przyczyniło się to do podniesienia przeciętnego wykształcenia i kompetencji społeczeństwa zielonogórskiego, co w dalszej perspektywie pozytywnie wpływało na rozwój miasta. Nie sposób pominąć korzyści płynących z lokalizacji władz wojewódzkich w mieście, szczególnie w systemie scentralizowanym i zhierarchizowanym, w którym przepływ informacji, decyzji i środków inwestycyjnych odbywał się kanałami wykonawczymi tej partyjno-administracyjnej struktury.

# Pierwsza sesja wyborcza Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze

**W wyniku realizacji uchwały Sejmu RP o nowym podziale administracyjnym państwa, odbyła się w dniu 8 bm. w Zielonej Górze pierwsza sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej.**

Zebrańie otworzył przedstawiciel Rady Państwa wicemarszałek Sejmu — <b>Barcikowski</b> .	Referat o zadaniach rad narodowych wygłosił tow. min. <b>Rybicki</b> .
Na przewodniczącą sesji WRN wybrano tow. <b>Leokadię Żmudzińską</b> , sekr. Kom. Fabrycznego PZPR w „Polskiej Wełnie”, a na sekretarza posła <b>Chaba</b> .	Następnie dokonano wyboru Prezydium WRN. W skład Prezydium weszli: jako przewodniczący — tow. <b>Jan Musiał</b> , I wiceprzewodn. ob. <b>Jan Furman</b> , II wiceprzew. — <b>Stanisław Garwiński</b> , sekretarz — były prezydent m. Zielonej Góry — <b>Ziarnkowski</b> , oraz ob. <b>Wachol</b> jako członek Prezydium.
Do prezydium sesji powołano członka Biura Politycznego KC PZPR tow. <b>Aleksandra Zawadzkiego</b> , przedstawiciela Rady Państwa wicemarszałka <b>Barcikowskiego</b> , sekretarza Rady Państwa tow. min. <b>Rybickiego</b> , I sekr. KW PZPR w Zielonej Górze tow. <b>Lorka</b> , przewodn. WRN w Poznaniu tow. <b>Migonja</b> , oraz przewodników pracy z miejscowych zakładów i spółdzielni produkcyjnych.	Po wyborze Prezydium przemówił tow. <b>Aleksander Zawadzki</b> . Na zakończenie zebrań chwaliłi tekst depezy do Prezydenta RP Tow. <b>B. Bieruta</b> .

## Historia

Informacja o inauguracyjnej sesji WRN ukazała się w redagowanej w Poznaniu „Gazecie Lubuskiej” dopiero 10 lipca 1950 r. na str. 2

Tak ukształtowany podział administracyjny Polski przetrwał ćwierć wieku, do 1975 r. Utworzono 49 województw, wtedy również Gorzów uzyskał status miasta wojewódzkiego.

# Niekorzystna reforma w 1975 roku

Zmiany na mapie administracyjnej Polski w 1975 roku poprzedziło połączenie gromad w gminy, którymi od 1973 władali naczelnicy. Kolejnym krokiem była likwidacja powiatów. Wraz z nią miejsce 17 dużych województw i pięciu miast wydzielonych zajęło 49 mniejszych województw, wśród nich zielonogórskie z siedzibą władz w Zielonej Górze. Ponadto Winny Gród był siedzibą urzędu miasta i szczątkowej administracji rejonowej.

Niedługo po tym, jak ekipa Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza przejęła władzę w PRL, rozpoczęła się utajniona dyskusja nad zmianami w administracji państwa. Mówiło się, że E. Gierek, mający za sobą pobyt we Francji, dąży do takiego modelu administracji, jaki jest w kraju słynącym z wina i sera. Co również, o czym nie mówiło się głośno, miało ukrócić władzę partyjnych i administracyjnych zarządców, którzy czuli się tak w województwach, jakby byli księżętami.

Od 1 stycznia 1973 r. miejsce niewielkich gromad zajęły większe gminy. Zarządzali nimi naczelnicy. Po wyborach późną jesienią tego samego roku nastąpił rozdział władzy uchwałodawczej od wykonawczej także na szczeblu powiatu i województwa. W powiecie administracją kierował naczelnik, w województwie – wojewoda, w mieście powyżej 50 tysięcy mieszkańców – prezydent. Na każdym szczeblu istniała rada narodowa z przewodniczącym, którym był pierwszy sekretarz lokalnego komitetu PZPR.

1 czerwca 1975 r. zamieniono trójstopniowy podział administracji (gmina – powiat – województwo) na dwustopniowy: gmina – województwo. W rzeczywistości likwidacji uległy jedynie rady narodowe szczebla powiatowego. Miejsce naczelnika powiatu zajął urzędnik (urzędy rejonowe powstaną dopiero w 1990 r.), którego zadaniem było ułatwienie kontaktu naczelnika gminy z wojewodą.

Północna część starego województwa zielonogórskiego znalazła się w województwie gorzowskim. Cały powiat głogowski i dwie gminy z powiatu szprotawskiego były



Odnazka honorowa Za Zasługi w Rozwoju Województwa Zielonogórskiego przyznawana w latach 1975-1998

w województwie legnickim. Powiat wschowski bez gminy Sława wszedł do województwa leszczyńskiego. Pomniejszone województwo zielonogórskie składało się z 61 gmin i 26 miast, wśród nich gmin Siedlec, Wolsztyn i Zbąszyń przyłączonych z województwa poznańskiego. Zajmowało obszar 8,7 km kw. W 1975 r. liczyło 580 tys. mieszkańców, w 1998 – 648 tys. Tak pod względem powierzchni, jak i liczby mieszkańców należało do województw średnich.

Siedzibą wojewody nadal była Zielona Góra. W zasadzie pozostały w mieście wszystkie zarządy wojewódzkie, które istniały przed 1975 r., oczywiście okrojone o obszar, który wcześniej im podlegał. Od tej zasady były wyjątki. Na przykład nadleśnictwa zostały podporządkowane Okręgowemu Zarządowi Lasów Państwowych w Poznaniu, a administracja w Zielonej Górze uległa likwidacji. Trzy lata później OZLP wrócił na swoje poprzednie miejsce. Okręgowa Dyrekcja Dróg Publicznych w Zielonej Górze najpierw odpowiadała za drogi w województwie leszczyńskim, później w jeleniogórskim. Zielonogórski Dom Książki zarządzał księgarniami w województwie gorzowskim. Okręgowemu Przedsiębiorstwu Rozpowszechniania Filmów w Zielonej Górze podlegały kina w województwie legnickim. Radio Zachód nadawało dla mieszkańców województwa gorzowskiego i zielonogórskiego. Organ Komitetu Wojewódzkiego PZPR „Gazeta Zielonogórska” stała się dziennikiem PZPR dla mieszkańców województwa gorzowskiego i zielonogórskiego. Ośrodek telewizyjny w Poznaniu nadawał programy odbierane w województwie poznańskim, gorzowskim i zielonogórskim.

Ta reforma odbiła się niekorzystnie na rozwoju Zielonej Góry, która według planistów w 2000 roku miała osiągnąć co najmniej 170 tys. mieszkańców. Przygotowany i wstępnie zatwierdzony projekt budowy gmachu filharmonii i szkoły muzycznej na Wzgórzach Piastowskich nie doczekał się realizacji. Podobnie stało się z planem budowy nowego szpitala wojewódzkiego na Zaciszu. Upadł wcześniej opracowany program przebudowy śródmieścia, z przejściem podziemnym z pl. Powstańców Wielkopolskich na ul. Przy Gazowni, gdzie miał powstać hotel Grono. Stało się to z tego powodu, że miasta podniesione do rangi stolic nowych województw, a było wśród nich wiele małych, niemogących wykonywać nałożonych na nie zadań, domagały się pieniędzy tak na budynki administracyjne, jak i na mieszkania dla urzędników, których sprowadzono z byłych powiatów lub przysłano ze starych miast wojewódzkich.



Mapa administracyjna Polski w latach 1975-1998

DJ

# Dogadali się z pomocą biskupa

Rządzący, czyli koalicja AWS-UW dążyła do przywrócenia powiatów i zmniejszenia liczby województw do 12. Obóz prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego także był za powrotem do trójstopniowego podziału władz, ale w ramach 17 województw. Sejm zdecydował o powrocie powiatów i utworzeniu 16 województw. Wśród nich lubuskiego z siedzibami w Zielonej Górze i Gorzowie.

Udana reforma administracji gminnej spowodowała, że jej autorzy zdecydowali się na zreformowanie pozostałych poziomów zarządzania państwem. Wybrany na szefa rządu Jerzy Buzek zaraz po wyborach ogłosił: „Szliliśmy po władzę, aby oddać ją ludziom”. Oznaczało to przywrócenie powiatów i zmniejszenie liczby województw. Padło wtedy hasło „5, 10, 50” oznaczające, że powiat to co najmniej 5 gmin, jego stolica to minimum 10 tysięcy mieszkańców i 50 tysięcy osób na zajmowanym obszarze. W powiatach zaczęły się tworzyć komitety na rzecz ich restrukturyzacji, a w małych województwach grupy broniące dotychczasowego podziału kraju. Mimo że w koalicji AWS-UW nie było zgody co do liczby województw, rząd zapowiedział utworzenie ich 8-12. Marszałek senatu lansowała koncepcję 25 województw. PSL opowiadało się za pozostawieniem 49 województw przekształconych w powiaty, należących do ośmiu regionów. SLD od początku dążyło do takiego podziału kraju, jaki był przed 1975 r.

W styczniu 1998 r. wojewoda zielonogórski utworzył zespół do spraw argumentów za jednym województwem na zachodzie Polski. Powstał dokument „Środkowe Nadodrze samodzielnym regionem”. Autorzy przekonywali, że gdyby województwo gorzowskie zostało przyłączone do Wielkopolski, a zielonogórskie do Dolnego Śląska, to „doprowadzi do osłabienia możliwości rozwoju tych ziem”, ponieważ oba województwa są „dochodowe i samowystarczalne”. Przewodniczący 17 sejmików starych województw domagali się powrotu do stanu sprzed 1975 r. W Gorzowie broniono mapy z 25 województwami.

A premier Buzek bronił koncepcji rządowej. O Zielonej Górze powiedział, że jest „niedorozwinięta”, czyli nie powinna być stolicą województwa, bo ma za mało instytucji ponadpowiatowych. Wywołało to sprzeciw posłów i senatorów zielonogórskich. Parlamentarzyści gorzowscy nie zareagowali na wypowiedź szefa rządu, ale zgodzili się na spotkanie w Międzyrzeczu. Tam po raz pierwszy zapadła zgoda na temat województwa z siedzibą sejmiku w Zielonej Górze i wojewody w Gorzowie.

W Zielonej Górze zawiązało się Stowarzyszenie na rzecz Promocji i Powołania Regionu Lubuskiego. Liczyło 167 członków, ale żadnego z województwa gorzowskiego. W niedługim czasie stowarzyszenie zebrało 110 tysięcy podpisów pod obywatelskim projektem ustawy w sprawie utworzenia województwa lubuskiego. Gorzowskie Stowarzyszenie Regionalne zapewniało mieszkańców, że będzie 25 województw, wśród nich gorzowskie. W katedrze została odprawiona msza święta „w intencji pomyślności i dalszego rozwoju województwa gorzowskiego”.

Kolejny raz parlamentarzyści z obu województw spotkali się w kawiarni seminarium duchownego w Gościkowie-Paradyżu. W rozmowie z „Gazetą Lubuską” ordynariusz

diecezji zielonogórsko-gorzowskiej bp Adam Dyczkowski potwierdził, że „maczał w tym palce”. Tam powstał list skierowany do premiera Buzka, przez historyków nazwany ugodą paradyską.

Wtedy klub parlamentarny SLD przygotował mapę z podziałem kraju na 17 województw, popieraną przez prezydenta Kwaśniewskiego, odpowiadającą zielonogórczanom, czemu dali wyraz manifestując przed gmachem sejmu i na pl. Zamkowym w Warszawie. Manifestanci zablokowali drogę Poznań-Świecko w pobliżu Świebodzina i przejście graniczne Gubin-Guben.

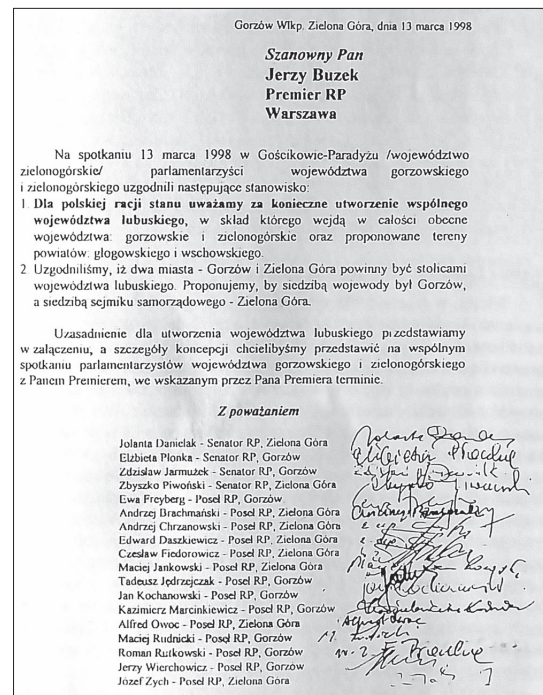
Poskutkowało to o tyle, że premier Buzek zaproponował utworzenie 15 województw, wśród nich lubuskiego. Ale prezydent Kwaśniewski ogłosił, że nie podpisze ustawy, w której będzie mniej niż 17 województw. 1 stycznia 1999 r. powstało 16 województw, wśród nich lubuskie, ale bez gmin wokół Głogowa. To był efekt poprawki wniesionej w senacie, a której nie odrzucili posłowie.

Zielona Góra straciła kilka ważnych instytucji, na przykład komendy wojewódzkie policji i straży pożarnej, które są w Gorzowie. Pewnie straciłaby więcej, gdyby nie powstało województwo lubuskie.



Odznaka honorowa Za Zasługi dla Województwa Lubuskiego, ustanowiona w 2005 r.

AS



Pierwsza strona ugody paradyskiej

## Ewa Wierzbicka

### Sonata

Nogi same w ten upalny czerwcowy dzień poniosły mnie w zarośla. Nie wiedziałem dokładnie, gdzie jestem, bo po licznych wskazówkach udzielonych przez przypadkowych przechodniów, już sam nie byłem pewny, o jaki właściwie obiekt do zwiedzania mi chodzi. Ja pytałem, oni odpowiadali, gestykulowali i ostatecznie polecili trasę dawnej „24” przez osiedle Śląskie, później Zdrojowe, choć starszy pan z uporem, a może raczej zaciętrzewieniem, poprawiał stojących na przystanku, mówiąc, że to żadne Zdrojowe, tylko Leśne z najpiękniejszą ulicą Botaniczną.

– A wie pan, co ja w dawnych czasach robiłem na Botanicznej? – zamyślił się, unosząc lekko kącik ust w łobuzerskim uśmiechu.

– Nie mam pojęcia, ale patrząc na pana minę, było to na pewno coś miłego.

– Na Botanicznej był taki piękny adres – rozmarzył się staruszek. – Wie pan, ten dom jeszcze stoi i opiera się o bliskie memu sercu cyfry 49. W tym domu z dachem mansardowym, na pięterku mieszkała Dorothea. Tak o niej myślałem. Tak do niej mówiłem. Takiej przysięgałem...

– Musiała być ważna w pana życiu.

– A jakżeby inaczej! 49 lat ją kochałem, a ona mnie. Wie pan, Dorothea uwielbiała „Winorośl północy” i karmiła mnie tymi owocami wróżek – jak je nazywała – a ja się nie opierałem.

– Czy szczepy winogron, z których słynie Zielona Góra, tak się nazywa? – zapytałem zaciekawiony.

– Skądże! Prababka Dorothei, która przyplętnęła do Polski w XVIII wieku, porzucając białe klify Dover dla porośniętego winem Grünberga, przywozła ze sobą najstarszy przepis na agrestowy sok. Mocny sok!... – zaśmiał

się rubaszenie staruszek i otarł łzawiące sentymentalną radością oko.

– Czyli przywiozła przepis na wino agrestowe, mam rozumieć? – zapytałem, szczerze zaciekawiony opowieścią staruszka, a on jak gdyby nie słysząc mojego pytania, odślaniał kolejne tajemnice z przeszłości. Kiedy patrzyłem na niego, miałem wrażenie, że był już daleko. Kosztował słodkiego i zarazem orzeźwiającego trunku razem ze swoją Dorotheą, która przepis prababki skrzętnie przechowywała w starym kredensie. I której ciepłe dłonie dla ukochanego przyrządzały wyszukane przysmaki. I to nie były jakie, bo przygotowywane z książki kucharskiej babki, pracującej w pałacu księżnej kurlandzkiej na Zatoniu, samej Doroty de Talleyrand-Périgord. Już chciałem dopytać o księżną, ale mój rozmówca bawił się dygresjami, przeskakując z jednej w drugą, jakby bojąc się, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego przed nadejściem metaforycznej nocy.

– A bo to wie pan, Brytyjczycy od 1727 roku na stołach stawiali faszki z tym łagodnym sokiem, podlewając nim swój pudding, a przy okazji wymyślali legendy. I ja stary chłop wierzyłem w nie, bo moja Dorothea mnie tego nauczyła! Mówiła mi na ucho „Mój Miły, jest coś w każdym szmerze i ja w to wierzę...”

– Legendy winiarskie... hmm... to musi być wbrew pozorom coś bardzo męskiego, więc nie trzeba się wstydzić. Z chęcią bym je poznał – powiedziałem. – Znam się trochę na wyrabianiu wina. To znaczy znam się nawet dobrze i dlatego przyjechałem do Zielonej Góry, żeby znać się najlepiej. Słyszałem bowiem, że w tym mieście albo „winniczkiem”, albo statkiem po Odrze można dotrzeć na Winobranie. A jak są gdzieś Bachanalia, to muszę na nich być, bo rodzice zapragnęli dać mi na imię Dionizy, rozumie pan?

– I rozumiem, i można, można, ale pan za wcześniej przyjechał. Toż to dopiero we wrześniu będziemy sobie winobusami jeździć poza miasto do winnic, żeby sobie poużywać...

poupijać... pospijać... Potańcówkę też robimy, ale wie pan, odkąd nie ma już mojej Dorothei to i nogi już nie te, i zginać się nie chcą, ale za dawnych czasów to skakaliśmy oboje, że hoho! – i zgiął lewą nogę w kolanie, że aż chrupnęło.

– A może usiądziemy przy stoliku i porozmawiamy, bo upał zaczyna być nie do zniesienia, a pana opowieść robi się coraz gorętsza, więc dobrze byłoby ją czymś schłodzić? – zaproponowałem.

– Ja piwa nie piję, bo to grzech w Zielonej. Ale jakby mnie pan troszkę podprowadził, to znam wyborne miejsce na pogaduszki, starego i młodego diabła oczywiście – zaśmiał się przy tym głośno, mrugając do mnie porozumiewawczo i już zaczął wyjaśniać, że uwielbia lekturę „Listów” C.K. Lewisa, i stąd taki żart. Po chwili dodał: – Choć jak tak na pana patrzę, to widzę naprawdę podobieństwo. No, co tu dużo mówić, wyczuwam, że ma pan rogatą duszę. Jeśli się mylę, to przepraszam bardzo, ale wie pan to mi zostało z naszych słuchanek-przepychanek. Lubiliśmy się tak z Dorotheą przekomarzać, a od kiedy jej nie ma... – głos mu się załamał – to zaczepiam ludzi, ale oni w tych dzisiejszych czasach nigdy czasu nie mają, nie to co dawniej. Człowiek zawsze znalazł go na pogawędkę sąsiadką, kieliszeczek wina na działce czy tańce do białego rana. A i odzywać się teraz to strach, bo obrażają się na mnie za byle co. Widać, że pan nietutejszy, bo i czas ma, i słuchać lubi, i chyba mnie nie zna albo nie zdążyli pana ostrzec, żeby nie wdawać się ze mną w pogawędkę, bo mimo że stary jestem, to zagadam pana na śmierć – i znów się zaśmiał.

– Lubię słuchać, żeby pan wiedział, że lubię. To gdzie idziemy? – a on wskazał na altanki porośnięte winoroślą typowe dla ogródków działkowych, choć przecież byliśmy w samym centrum miasta. Trochę byłem zdziwiony ich lokalizacją, ale wziąłem staruszkę pod rękę i ruszyliśmy jak się okazało do parku Winnego i Palmiarni.



rys. Izabela Sak

– A wie pan, to tutaj Dorothea opowiedziała mi po raz pierwszy o wrózkach mieszkających w krzewach agrestu. To tutaj poprosiłem ją o rękę... – Zamilkł, a ja miałem wrażenie, że mówiąc te słowa, zapadł się w sobie, gubiąc po drodze swój podlany nieudawanym wigorem witalizm. Łzy stanęły mu w oczach i mi też zrobiło się nagle jakoś nieswojo. Milczałem, czekając, by mój nowy znajomy mógł w spokoju pożegnać się z Dorotheą. Rozumiałem jego tęsknotę. Rozumiałem jego głód bliskości...

– Ona miała takie piękne zielone oczy obramowane długimi rzęsami. Mówiłem, że są jak owoce agrestu, które też mają takie maleńkie rzęski, a ona

śmiała się wtedy słodko i całowała moje dłonie, moje oczy, usta... Obiecałem, stojąc nad jej grobem, że wszędzie będę sadił jej ukochaną „winorośl” i właśnie pana w niej zobaczyłem.

– Mówi pan o tych zaroślach, niedaleko przystanku?

– Tak, to moje dzieło – powiedział z wyraźną dumą w głosie. Wchodzisz w nie i możesz się najeść, ale i możesz się pokłuć. To tak jak w życiu. Żeby zrozumieć, czym jest szczęście, musisz je utracić. Musi cię zabołeć, to wtedy bardziej doceniasz...

Nagle obok stolika, przy którym usiedliśmy pojawił się kelner, do którego mój rozmówca zwrócił się wyraźnie poirytowany.

– Nietądnie tak przeszkadzać nieznanym i podsłuchiwać!

– Ja tylko przyszedłem po zamówienie. Może panowie czegoś sobie życzą? – odpowiedział skonsternowany. Było mi go szkoda, ale z drugiej strony staruszka też mi było szkoda.

– Tak życzymy sobie. Jedną księżną dla pana – skinął w moją stronę. – I jedną dla mnie.

Kelner bez dopytywania przyjął zamówienie, by po chwili postawić na stoliku kieliszki z wybornym winem Duchesse de Dino.

– Pochodzi z winnicy Saganum, a receptura podobno od samych średniowiecznych mnichów – zamyślił się, a może tylko rozkoszował smakiem

wina. Piliśmy w ciszy, którą ja postanowiłem przerwać wyznaniem.

– Takie są najlepsze. Stare winnice, stare piwnice, stare wi... – nie zdążyłem dokończyć, bo nowo poznany zielonogórski opowiadacz dokończył za mnie.

– ... i starzy ludzie ze swoimi starymi opowieściami, którymi próbują nadać sens bytowi na przekór nicości. A wie pan, muszę panu zacytować mój ulubiony „diabelski fragment” z „Listów starego diabła do młodego” Lewisa: „Nicość jest bardzo mocna, by wykraść najlepsze lata człowieka, które mijają niepostrzeżenie, spędzane nawet nie w upojeniu grzechem, lecz na ponurym błakaniu się myśli, nie wiadomo, gdzie, i nie wiadomo, w jakim celu; na bębnieniu palcami po stole i machaniu nogami; na wygwizdywaniu melodii, których nie lubi; na pogrążaniu się w ciemnym labiryncie marzeń, którym brak nawet zmysłowości i ambicji do uzyskania jakiegoś jej posmaku, lecz z których (gdy zostaną raz wywołane jakimś przypadkowym skojarzeniem) człowiek, z powodu niemocy i zamroczenia, nie potrafi się otrząsnąć”.

Kiedy wyrecytował ważne dla niego słowa, ja nie potrafiłem się otrząsnąć z nadmiaru wrażeń intelektualnych i smakowych. To miejsce, ten człowiek, to miasto było jak labirynt, z którego nie chciałem wychodzić. Było mi tu dobrze.

– A może zagramy w partyjkę szachów? – zagadnął mnie staruszek ze skrywaną w oczach nadzieją, że mu nie odmówię. – Pan nawet nie wie, że moja Dorothea to, jak to się mówi, z mlekiem matki, raczej babki, choć chyba to jednak była prababka ta, co to statkiem przypłynęła do Polski, wyssała talent do gry w szachy. Prababka jak płynęła, to podobno z nudów narysowała na szerokiej desce pokładowej szachownicę, zrobiła prymitywne pionki z chleba i zaczęła grać w szachy z żeglarzami. Jak prababka zaczęła wtedy partyjkę, tak już wszystkie kobiety w rodzinie mojej żony w szachy grały, ale tylko Dorothea potrafiła najpiękniej mówić „szach – mat!” – i nie pytając mnie już

o zgodę, wyjął z przetartej na brzegach torby maleńką szachownicę z nietuzinkowymi pionkami.

– Wiem, wiem, wszyscy się dziwią, że nawet goniec i koń ma skrzydełka, ale to był jej pomysł. Chciała mieć na planszy i pegaza, i wróżki, i duszki, więc zamówiłem u samego Krzyszowskiego i ten je tak wyrzeźbił.

– To istne cudencko! – krzyknąłem urzeczony misternością wykonania.

– To istne szaleństwo, że chce pan grać z mężem Mistrzynie i myśli pan sobie, że wygra! – odpowiedział rozochocony, podając mi dłoń.

Zatraciliśmy się w grze, a ja zrozumiałem, że prawdziwa przyjemność była ostatnią rzeczą, na jaką mój nowy znajomy mógł sobie pozwolić. Wszystko inne zabrał mu bowiem czas, którego za nic w świecie nie dało się ujarzmić, oszukać, zatrzymać. Będąc enologiem, byłem podobno z nim zaprzyjaźniony, bo potrafiłem godzinami czekać aż wino sfermentuje i dojrzeje w dębowych beczkach. Pozwalałem mu w nich oddychać, bo wiem, że korzystnie wpływa to na przebieg winnych procesów. Niczego nie przyspieszałem, musując jak ono, ale niekiedy myślałem sobie, że gdyby można było tak czas upić, to człowiek zyskałby dzień, zanim on doszedłby do siebie. A kiedy by tak dochodził na chwiejnych nogach, na pewno byłoby w życiu ciekawiej. Bo za każdym zakrętem kryłyby się nowe możliwości, zaskakujące zwroty akcji czy obce drzwi, do których już się zapukało.

– Niech pan nie robi takiej miny, jak człowiek, który sobie uświadomi, że większą część swojego życia strawił na rzeczach nieistotnych i niechcianych – wyrwał mnie z zadumy staruszek.

– Nie, ja tylko w ciszy celebрую tę chwilę, którą spędzam z panem. Nie wiem, czy ktoś już to panu mówił, oprócz oczywiście Dorothei, że jest pan wyjątkowy. Chciałem, żeby zrobiło mu się miło, bo na to zasługiwał, ale on znów mnie zaskoczył.

– Wyjątkowi to byli goście księżnej Doroty de Dino, którzy zjeżdżali do

Zatonia, a którym babka mojej żony gotowała i nakrywała czasami do stołu w jadalni o marmurowej posadzce. A tak w ogóle już się pan domyśla, dlaczego moja księżna z ulicy Botanicznej miała takie imię? – nie czekając na moją odpowiedź, kontynuował. – Jeśli pan pozwoli, to potowarzyszę panu do ruin pałacu i będzie mógł pan utonąć nie w parkowym stawie, ale w oczach księżnej kurlandzkiej. Tak. Tak... Patrząc na park, który założyła, patrzy się tak naprawdę w jej duszę. Księżna była piękną kobietą, więc też i pięknie to wszystko urządziła. Nie mogło być inaczej, bo przecież jej imię, wie pan... Była dla Grünberga prawdziwym darem Bożym... – cmokał przy tym z uznaniem. – A jak już urządziła, to i zapraszała znamienitych gości. No, niech pan sobie wyobrazi, tu do nas taki król pruski czy car rosyjski powozem zajeżdżali. Ale nie o tych dygnitarzach chcę panu opowiedzieć, ale o... – zamyślił się i jakby zapomniał, co chciał mi powiedzieć. Nie nalegałem, ale cisza zbyt boleśnie zaczęła wibrować w powietrzu, więc spytałem.

– O?

– O? Nie rozumiem.

– O kim chciał mi pan opowiedzieć?

– A tak, a tak o tym Francuzie Balzacu, co gościł w Zatoniu, a potem stworzył powieść „Sekrety księżnej Cadignan”, która ludzko przypominała naszą księżną Dorotę. Ale nie o nim chciałem, tylko o tym, co powiedział ten Balzac o przyjacielu księżnej Dino, tym wielkim kompozytorze, co to na jego widok kobiety mdlały. Wie pan, o kogo mi chodzi?

– Z wielkich kompozytorów, to znam tylko Chopina.

– Prawie pan zgadł, bo on właśnie przyjaźnił się z Chopinem. Tylko że z tego, co mówił Balzac o nich dwóch, to, kiedy zasiadali do fortepianu, Chopin był aniołem, a ten, o którym chcę panu opowiedzieć, istnym diabłem. A jak już pan zauważył po odejściu mojego anioła... z diabłami jestem za pan brat – zaśmiał się znajomo, mrugnął i odplynął w światy jemu tylko znane,

wonne, zamglone, dyszące tajemnicą. Mieszały mu się fakty, osoby, lata, ale z całości zdołałem wywnioskować, że księżna Dorota z Zatonia, do którego za chwilę mieliśmy się obaj udać, przyjaźniła się z Ferencem Lisztem. Tym Lisztem, którego oratorium o św. Elżbiecie z adnotacją „In memoriam Dorothea, Sagani princippe” grano na pogrzebie księżnej. Zastanawiające było to, dlaczego staruszek chciał mi opowiedzieć o Liszcie? Dlaczego ciągle się przejęczył i mówił raz Liszt, raz list. Nie rozumiałem. Miałem wrażenie, że wyszarpywał strzępki informacji z pamięci, bo coś cytował, coś wyznawał, coś próbował przemilczeć. Co jakiś czas, ocierając łzy, powtarzał – stary nie zbzikował, tylko mu w sercu gra tamta melodia... Wyznał, że jego Dorothea codziennie słuchała kompozycji Liszta, która – jak twierdziła – rozpoczyna i kończy się „szatańskimi podszeptami”, czyli muzycznym interwałem, który reprezentuje diabła w muzyce. Słuchali ich oboje wiosną czy też jesienią, otuleni subtelną wibracją dźwięków najbliższych.

– Wie pan, kiedy Dorothea ulegała magii fortepianu i delikatnie wystukiwała palcami, o nasz dębowy stół w jadalni, rytm ulubionego „Mephisto Waltz no 2”, przypominała anioła... Takiego, co to przysiadł na chwilę, składając swe skrzydła. Ja mogłem ją wtedy tylko podziwiać... – rozszlochał się w sobie, a ja nie wiedziałem, co robić, co powiedzieć. Więc nieporadnie zaciąłem.

– Jak już ustaliliśmy, jest pan starym diabłem. A jak wiadomo diabły nie płaczą, bo nie taka jest ich rola.

– Rzeczywiście, nie taka. Nie potrafię jednak się powstrzymać... Nie zamierzam jeszcze umierać, ale nie odczuwam też przyjemności życia. Ona...

– Niech pan tak nie mówi. Podobno czas koi ból i kołysz nasze marzenia.

– No nie wiem, księżnej Doroty nie ukoił, kiedy zginał jej ukochany, Feliks Lichnowski. A marzenie, żeby wyrosła wielka topola z tego kawałka drewna, co to miał księcia chronić, a nie

ochronił, też się nie spełniło. Księżna podlewała go swoimi łzami i nic. Dłatego ja podlewam wodą z konewki.

– Co pan podlewa?

– Krzewy agrestu, żeby spełniło się marzenie mojej Dorothei.

– Nie mówił mi pan o nim, więc jeśli nie jest to zbyt osobiste, może mi je pan zdradzić.

– A i owszem, powiem panu, bo z tą tajemnicą ciężko tak samemu.

– Tajemnicą?

– Dorothea nie zabrała jej do grobu, tak samo jak jej matka i babka. Wszystkie one pielęgnowały wspomnienia i były lisztomankami – zaśmiał się.

– Kim? – zapytałem zdumiony.

– Lisztomankami. Babka to już w ogóle, bo w sekretnym liście, który ofiarowała jej księżna Dorota, znajdują się słowa podziękowania samego kompozytora dla jej kucharskiego talentu.

– Pogubiłem się. Ferenc Liszt pisał listy do babki pana Dorothei?!

– I tak, i nie. Jest tylko jeden, w którym nie może on wyjść z podziwu dla ognistego w swej łagodności soku, jakim uraczyła go babka podczas obiadu w Zatoniu. A było to chyba gdzieś około 1853 roku. Wszystko to jej zasługa... On pił i – jak pisał w tym liście – już komponował walce diabelskie. On jadł przygotowane przez nią mózgi w czarnym maśle i – jak mówił księżnej Dorocie – otwierało się przed nim jasne niebo. Chociaż ja myślę, że raczej przedświecenie nieba, bo przecież te kobiety, które włóczyły się za nim, omdlewając, wzdychając, kochając i nawet bijąc się po koncertach o pęknięte struny z jego fortepianu, to nigdy by go do tego nieba nie puściły. Każda z nich miała ambicję, aby go usidlić lub chociaż zedrzyć z niego frak, koszulę, a potem takiego nagusieńkiego... – staruszek nie wiem czy zawstydzony, czy może rozbawiony, zaczął kasłać, więc dokończyłem za niego.

– Tak to jest z fankami czy to wtedy, czy teraz, zawsze chciałby cię mieć na własność. I mówi pan, że obdarłyby go nawet ze skóry? A chyba nago

tak przed Bogiem nie wypada, chociaż...? – zaśmialiśmy się obaj.

– A ja tak sobie myślę, że ten stary diabeł od Lewisa ma rację, mówiąc, że „wdzięczność kieruje się ku przeszłości, a miłość ku teraźniejszości; strach, chciwość, nieczystość i ambicja ku przyszłości. Więc one tak na przyszłość chciały coś mieć i miłość wielką chciały mu dać, a Liszt co?

– Wolał wino agrestowe babki – dokończyłem.

I pojechaliśmy do zatońskiej „świętyni dumania” – jak to miejsce nazywała księżna Dino – może nie powozem Liszta, który według relacji staruszka był po trosze salonem, po trosze gabinetem i nawet sypialnią, ale najzwyczajszym autobusem. Jadąc, zastanawiałem się, czy w tej opowieści nie zamieszkało zamiast prawdy kłamstwo, wysnione przez dwoje wrażliwych ludzi? I czy ta ich wrażliwość pozwoli im nie wyblaknąć? Czy cudze marzenia niespełnione w przeszłości, mogą się zmaterializować w teraźniejszości? Czy rzeczywiście rację miał stary diabeł Lewisa – za przyjaźniony z moim „zielonogórskim Wergilim” – mówiąc, że „teraźniejszość jest punktem, w którym czas styka się z wiecznością”? Czy w zwyczajności rzeczy, takich jak smugi brudu na szybach autobusu i lepka wata cukrowa, można znaleźć melodię niepoznawalnego? Czy w bieli porastającego przypałacowy park czosnku niedźwiedziego wiosną i tasznika pospolitego latem – według relacji staruszka – można dostrzec delikatną nić trwania? Nić, która spleta się w nuty nieznanego utworu zapisanego w liście ofiarowanym babce Dorothei? I czy tę „Sonatę agrestową” – jak ją oboje nazwali – zdoła ktoś kiedyś zagrać w domu księżnej... – jak mówiła – „jedynym... upragnionym, wyteśknionym, chcianym, kochanym”? W Zatoniu?

Nie wiem, ale jedno jest pewne, że staruszek będzie nadal doglądał swojego agrestu...

## Aleksandra Rybczyńska

### (Nie)winne haiku

Miasto aniołów,  
w którym Nadzieja sęczy  
zielone wino.

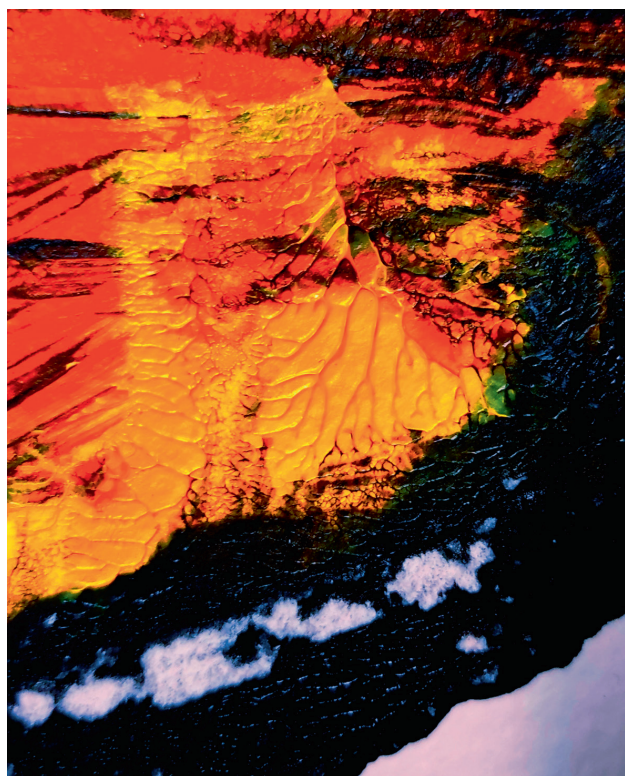
Gdzieś gra muzyka.  
Psołne gołębie tworzą  
orszak Bachusa.

Czas świętowania.  
Okna kamienic zdobią  
kolory wiosny.

Błyszczą szaliki.  
Nad warkotem i tłumem  
zapach benzyny.

W świecie jak z bajki  
słodka magia zakleja  
dziecięce buzie.

Zimowy pejzaż –  
zieleń palm się odcina  
od bieli śniegu.



rys. Izabela Sak

Krokodyl drzemie  
w czarodziejskim ogrodzie.  
Raj odzyskany.

Spacer w kosmosie –  
wystarczy unieść rękę,  
aby dotknąć gwiazd.

Sen nocy letniej,  
bogowie u Bachusa,  
muzy wszelakie.

Winy niewinny  
gród, co skradł księżycowi  
srebrzyste serce.

Skrzydła lśnią w słońcu,  
gdy wielkie srebrne ważki  
szybują z wiatrem.

Stare chaty śpią,  
wiatr z oddali niesie śmiech  
wraz z pluskiem wody.

Gąski nad strugą,  
a dzieci niczym małpki  
buszują wśród drzew.

Wierna sąsiadka,  
przyjaciółka wędkarzy  
otulona mgłą.

Wśród pól rzepaku  
marzenie o winnicy  
staje się ciałem.



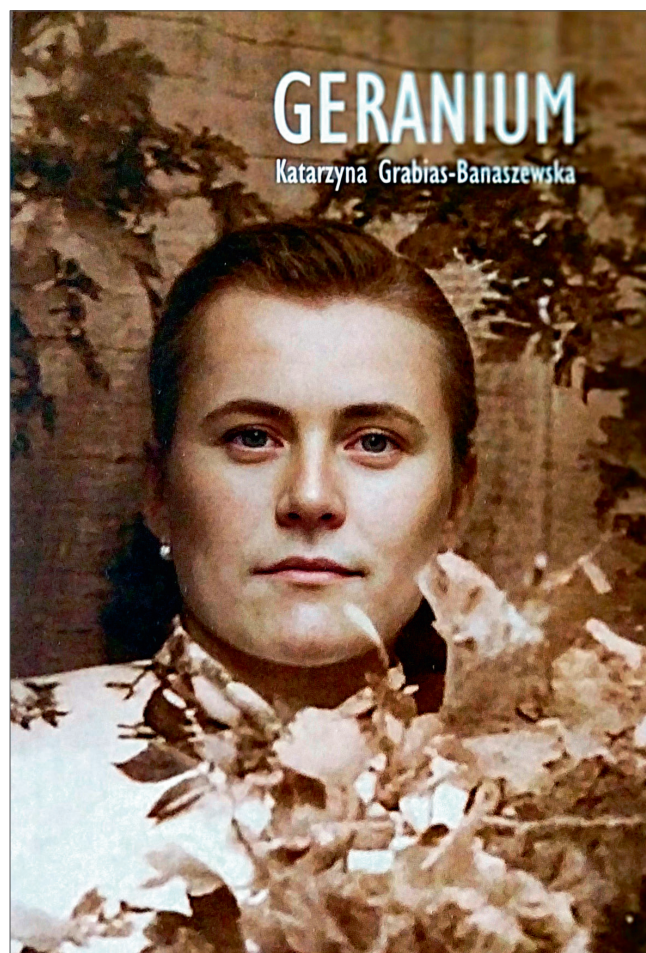
Marta Ruszczyńska

## Szczęście z geranium

Książka Katarzyny Grabias-Banaszewskiej przyciąga uwagę czytelnika wysmakowaną szatą graficzną, z okładki patrzy na nas młoda kobieta o ujmującym łagodnym spojrzeniu. Zdjęcie jest czarno-białe, delikatnie podkolorowane, a na bluzce czy sukience młodej osoby widać motyw roślinny przechodzący w tło, na którym zaznaczają się charakterystyczne delikatne listki geranium.

Motywy florystyczne otaczające wycinankowe „baby” obecne są również na ilustracjach przedzielających poszczególne fragmenty prozy. Całość otwiera opowiadanie „Kolebiący się na gwoździu” rozpoczynające opowieść o repatriantach z Kresów Wschodnich, którzy po wojnie przyjechali na Ziemię Zachodnie, a kończy „Monidło”, w sumie jest to 14 prozatorskich tekstów.

W literaturze polskiej opowieści o powojennej przesiedleńczej tułaczce i trudnych latach związanych z asymilacją na tzw. Ziemiach Odzyskanych zyskały nazwę narracji osadniczych. Trwałość tych narracji repatriantów-osadników wyznaczają ramy czasowe końca lat osiemdziesiątych, ale jeszcze i później, w latach dziewięćdziesiątych aż do końca XX wieku były one ponawiane wraz z powrotem do nieobecnej w dobie PRL tematyki kresowej. Wówczas to po mit utraconej kresowej ojczyzny sięgały często dzieci powojennych repatriantów „argonautów”, spłacając jakby dług narracyjny swoich ojców. Przywołana perspektywa wydaje się w kontekście książki K. Grabias-Banaszewskiej ważna i znacząca, a odnosi się do niej sama autorka, umieszczając na okładce zdjęcie swojej babci Krystyny, a we wstępie pisząc, iż „przywołane tu historie miały swoje miejsce. Istnieli też opisani w nich ludzie”, nazywając też swój tomik prozy „opowieściami niedokończonymi” i „obrazkami” oraz „strzępami wspomnień”. Ta ostatnia formuła wydaje się być istotnym elementem kształtującym narrację tych opowieści, jak i sposobem prezentacji bohaterów, których powojenne losy, jak i te już późniejsze, opisane zostały nie z perspektywy historycznych czy społecznych przemian i tak często podkreślanego przez ówczesne władze – cywilizacyjnego awansu. Czytając opowiadania odnosimy wrażenie, że dla bohaterów fakt, iż stali się posiadaczami domu z cegły nie był decydujący w tym, co uznali za wartościowe w swoim życiu. Ich osobiste historie opowiedziano bowiem z perspektywy tego, co odcisnęło się w pamięci, a są to najczęściej detale, będące w tej prozie nośnikami pamięci: a więc zdjęcie przypadkowo odkryte na strychu poniemieckiego domu, ale także przywiezione z Kresów drobiazgi. Jest to świat, w którym to, co bohaterowie zabrali ze sobą w tę wielką „repatriantką” podróż swojego życia, miesza się z tym, co znaleźli w tych nowych przestrzeniach, a co z kolei zapisane zostało w ich „rodzinnych szufladach” i „strychach pamięci”. Tworzy to, zarówno dla nich, jak i dla kolejnych pokoleń wnuków czy prawnuków, istny kulturowy palimpsestowy labirynt, przez który muszą się przepokopać, aby dotrzeć do tego co najważniejsze. Jest to żmudna



Katarzyna Grabias-Banaszewska, „Geranium”, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, Zielona Góra 2024, 140 s.

praca, tyleż pamięci, co wyobraźni w opisie świata już coraz bardziej odchodzącego w przeszłość, a który autorka chciałaby ocalić, zagłębiając się niczym archeolog w złożoną tkaninę rodzinnej genealogii, rozproszonej i istniejącej już tylko w zakamarkach własnej pamięci, często odkrywanej w tych wciąż nawarstwiających się opowieściach.

Z tego co wydaje się dla bohaterów, a głównie są to kobiety, szczególnie trwałe i ocalające, a co zdaje się być istotnym elementem łączącym wszystkie postacie, jest ich związek z ziemią, który tak wyraźnie zaistniał w dawnych narracjach osadniczych. Jednak tym razem tę koegzystencję widziałabym w kontekście obecnego w zbiorze „zwrotu ludowego”. Poprzez tę więź z ziemią bohaterki pragną zbudować, a może ustanowić na nowo jakąś własną intymną nić porozumienia dawnego z nowym, zarówno z krajobrazem, jak i miejscem, a czego symbolem staje się pachnący krzaczek geranium, które tak lubią i cenią bohaterki tych opowieści. Może jest tak, jak pisał niemiecki filozof Johann Gottfried Herder, że „arkadia kwitnie wszędzie, albo nie kwitnie nigdzie”. Jeżeli tak, to jej substytutem byłaby właśnie owa niepozorna doniczka geranium ustawiona na parapecie okna jednej z bohaterek, a może jest tym „monidło” przywracające świeżość wspomnień i tego, co w życiu było naprawdę ważne. Czytając te interesujące historie, opowiedziane przez narratorkę z empatią i czułością, na koniec nasuwa się jeszcze i taka refleksja, będąca parafrazą wiersza ks. Jana Twardowskiego – spieszymy się opowiadać świat, który tak szybko odchodzi.

Alfred Siatecki

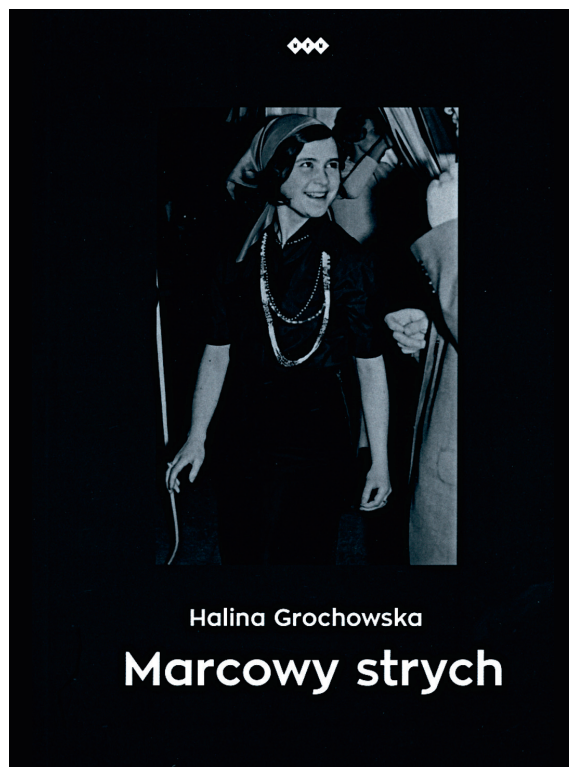
# Miasto wprost z ulotnej pamięci

W 2021 roku ukazała się „Październikowa pralnia” Haliny Grochowskiej, powieść o losach czterech zielonogórskich rodzin. Jej akcja dzieje się w czasach stalinowskich, ale już czuć zapach Października 1956. W 2024 r. wyszedł „Marcowy strych” z fabułą pachnącą Marcem 1968.

Bohaterami najnowszej książki znowu są zielonogórzanie, którzy chodzili po ulicach i placach miasta w latach 1954-1968. Dąty te wyznaczają ważne wydarzenia w dziejach Polski, co oznacza, że również odbiły się wielkim echem w Zielonej Górze i miały wpływ na to, co działo się w mieście w 1950 r. podniesionym do rangi stolicy województwa. Co najmniej dwa z nich, dość precyzyjnie, przedstawione przez H. Grochowską z literacką fantazją, zatrzymały się w historii. Mowa o tzw. wydarzeniach zielonogórskich i o tym, co spowodowało, że zmarły niedawno Zbigniew Czarnuch stał się przykładem, a dla wielu wzorem, jak być takim pedagogiem, żeby pozostać w trwałej pamięci wychowanków. To oznacza, że powieść powinna stać się lekturą obowiązkową jeżeli nie większości zielonogórzan średniego i starszego pokolenia, to przynajmniej tych, którzy zachowali w pamięci PRL.

Akcja „Marcowego strychu” zaczyna się w 1954 r. w narzędziowni Zastalu, kończy w marcu 1968 na poddaszu w centrum miasta rozmową przy winie marki Kora Lubuska o tym, co działo się na WSI. Bohaterów poznajemy wtedy, kiedy jeszcze są uczniami podstawówki i mieszkańcami kamienic. Wtedy Staszek pierwszy raz uderzył Marzenę, ponieważ „mu się zdawało, że na zabawie zalecała się do obcych facetów i pozwalała im się w tańcu obłapiać”. Ich przybrana córka wyjeżdża do Żagania, gdzie uczy się w liceum pielęgniarstwa. W raczej spokojnym mieście nic ważnego się nie dzieje, jeśli nie liczyć codziennych spraw, którymi żyją mieszkańcy ponemieckich domów. Akcja rozkręca się w 1960 r. Wtedy dochodzi do tego, co historycy nazwali wydarzeniami zielonogórskimi. Chodziło o to, że władze wydały użytkownikowi Społecznego Domu Katolickiego nakaz opuszczenia zajmowanego budynku. Użytkownik, czyli parafianin nie bez udziału proboszcza temu się sprzeciwił. „Rzucano kamieniami w samochody milicyjne i piesze patrole (...) Pomiędzy szpitalem elżbietanek, gazownią, wylotem ulicy Kasprowicza i kościołem ludzie na przemian albo uciekali przed milicjantami, albo rzucali w nich, czym się dało: kamieniami, cegłówkami i wyrwaną kostką brukową”. Oczywiście brali w tym udział dorośli bohaterowie powieści i ich niedorośle dzieci.

O wiele bardziej intrygująco H. Grochowska opowiada o Makusynach i harcerskim teatrzyku Cudaków, który urządził parady lalek, przedstawienia cyrkowe na podwórkach, a po obejrzeniu filmu „Krzyżacy” – „bitwę pod Grunwaldem” na Wągmostawie. Nie wszystkim rodzicielkom to się podobało. „Takie łobuzowanie z chłopakami na pewno nie jest odpowiednie dla dziewczynek” – twierdziła Janina Rodakowska. A gdy inna bohaterka dyskusji na strychu, gdzie stał magiel, przekonywała, że „dzieciakom jest potrzebny ktoś taki, kto wszędzie wejdzie i wszystko dla nich zdobędzie”, Iga orzekła, że Czarnuch to „Na pewno jest Żyd”. Wtedy Janina



Halina Grochowska, „Marcowy strych”, Warszawa Firma Wydawnicza, Warszawa 2024, 271 s.

spytała, dlaczego tak uważa. „Bo to tylko Żydzi wszędzie wejdą i wszędzie się panoszą”, odpowiedziała Iga. Proszę pamiętać, że zbliżają się wydarzenia określone w polskiej historii jako Marzec 1968.

Jest w powieści mowa o pochodach pierwszomajowych i stosunku tak nauczycieli, jak i uczniów do obowiązkowego w nich uczestniczenia. Jest i o zaopatrzeniu sklepów, o stolówce w komitecie, o Lembasie. O tym, co tkwi w głowach bohaterów powieści, świadczą takie ich stwierdzenia: „Mężczyzna po to ma w domu kobietę albo kobiety, żeby było czysto, miło i smacznie” czy „Studiowanie albo przyuczanie do zawodu jest dla brzydkich dziewcząt”. Gdy Krystyna Kaleta została szatniarką w teatrze, powiedziała do sąsiadek: „Teraz to ja muszę częściej niż do tej pory umyć i nakręcić włosy i podmalować oczy, użyć pudru, różu i szminki. Przecież teraz mam do czynienia z inteligentnymi ludźmi”.

Troszkę pamiętam tamte lata. Pewnie znajdą się historycy, którzy coś zarzucą autorce „Marcowego strychu”. Moim zdaniem H. Grochowska nie przesadziła, jeśli nie liczy tego, że w kilku miejscach pomyliła nazwy ulic.

Za tę powieść autorka była nominowana do Nagrody Literackiej ZLP im. Andrzeja K. Waśkiewicza 2024.

# Spojrzenie na przeszłość

Prezentowane publikacje, przygotowane przez badaczy z Uniwersytetu Zielonogórskiego, potwierdzają, że powołanie tej uczelni było słuszne. I jest korzystne nie tylko z punktu widzenia kandydatów na licencjatów, inżynierów i magistrów.

Agnieszka Dylewska jest literaturoznawcą, adiunktem w Instytucie Filologii Germańskiej UZ. Zajmuje się polską i niemiecką literaturą ludową, literaturą regionalną Dolnego Śląska i antropologią literatury. Podczas swych poszukiwań badawczych zainteresowała się przedwojenną jeszcze, lokalną publikacją w postaci kalendarza, okazało się, że nikt jeszcze go nie opracował pod względem językoznawczym. W początkach XX wieku kalendarze książkowe były bardzo popularne, praktycznie każda rodzina posiadała egzemplarz na dany rok. Dzięki swemu uniwersalizmowi i spełnianiu funkcji informacyjnych, literackich, jak i klasycznego kalendarium, stanowiły źródło rozrywki i wiedzy, a także tworzyły świadomość społeczną. Jak pisze autorka: „Wydawany w latach 1910-1940 »Grünberger Hauskalender« stanowił rodzaj zwierciadła życia społeczno-kulturalnego dla określonego terytorialnie i kulturowo obszaru [...] jakim były powiaty zielonogórski (Kreis Grünberg) i kożuchowski (Kreis Freystadt).

Autorka podjęła próbę odpowiedzi na pytanie, czy wspomniany kalendarz odzwierciedlał na swoich łamach tożsamość regionu, w którym był czytany i czy ukazywał kulturę oraz obyczaje jego mieszkańców, a z drugiej strony, jak wyglądał wpływ samego regionu na powstającą w nim szeroko rozumianą twórczość, jakie regionalne motywy i toposy ujmowano w publikowanych w kalendarzu tekstach literackich. Na łamach kalendarza dziś odnajdziemy ważne dla kultury przedwojennego regionu postaci, jak np. Paul Petras, który w swej twórczości niekiedy posługiwał się grünberskim dialektem języka niemieckiego; Anna Magdalena Bock z Neustadtel (Nowego Miasteczka), która opisywała życie prowincji z kobiecego punktu widzenia; Lotte Jaekel z Freystadt (Kożuchowa) – poetka i rysownicza; czy wreszcie malarz i rysownik Gerhard Reisch.

Dodatkową wartością tej monografii jest zestawienie tabelaryczne zawierające spisy treści wszystkich wydanych roczników „Grünberger Hauskalender”, którego będzie pomocne dla wszystkich zainteresowanych przeszłością naszego regionu. Warto

też dodać, że książka jest dostępna on-line w Zielonogórskiej Bibliotece Cyfrowej.

Praca A. Dylewskiej znalazła się wśród trzech nominowanych do Lubuskiego Wawrzynu Naukowego 2024 r.

Tom pierwszy książki „Mia100 lubuskie” stworzył zespół autorski z Instytutu Architektury i Urbanistyki Uniwersytetu Zielonogórskiego: Michał Pszczółkowski, Inna Abramiuk i studenci ze Studenckiego Koła Naukowego „Fortezza” (Wiktoria Maria Papaj, Katarzyna Ciesielska, Maria-Alexandra Keresztyen, Tomasz Radzik i Yelyzaveta Kasishcheva). W pracy tej zawarto spojrzenie na Zieloną Górę z zupełnie nowej perspektywy, ukazując różnorodność stylów architektonicznych stosowanych w budownictwie przez kilkaset lat historii miasta. Nie wszystkie pokazane budowle zostały wpisane do rejestru zabytków. Jest to również subiektywny wybór uporządkowanych chronologicznie stu najważniejszych zielonogórskich budynków (kamienic, obiektów sakralnych, zakładów, obiektów użyteczności publicznej), nie tylko przedwojennych (począwszy od XIV-wiecznej konkatedry), powojennych (np. nieistniejący już hotel Polan, obiekty uniwersyteckich kampusów A i B), ale i tych bardziej współczesnych, jak np. budynek Archiwum Państwowego, który powstał w latach 2011-2013, Centrum Zdrowia Matki i Dziecka (2019-2020) czy budynek firmy LIT z 2019 r.

Publikacje z serii „Mia100 lubuskie” według zamierzeń autorów mają ukazywać się cyklicznie. W kolejnym tomie opisane zostaną najpopularniejsze budynki z Gorzowa Wielkopolskiego.

Książka zwyciężyła w plebiscycie czytelników towarzyszącym Lubuskim Wawrzynom 2024.

AP-W



Agnieszka Dylewska, „Grünberger Hauskalender”. Literackie zwierciadło zielonogórsko-kożuchowskiej mikroprovincji (1910-1940), Zielona Góra 2024, 424 s.



„Mia100 lubuskie. Zielona Góra”, tom 1, Michał Pszczółkowski, Inna Abramiuk i studenci, Zielona Góra 2024, 240 s.

Dorota Wabno

## Dwaj co kochali Litwę

W latach 1988-1993 mój ojciec, Henryk Szyłkin (1928-2022), zielonogórzanin od powojennych lat, prowadził korespondencję z mieszkającym wówczas w Berkeley Czesławem Miłoszem. Listy, pisane drukiem i odręcznie, stanowią cenną pamiątkę rodzinną.

Ojciec nawiązał kontakt z noblistą, wysyłając swój tomik poezji i zapytanie, czy jest on już w posiadaniu antologii poetów polskich zamieszkujących Litwę „Sponad Wili cichych fal” (1985), której był nieformalnym redaktorem. Przepływał korespondencji, jaki potem nastąpił, jest doskonałym świadectwem silnych związków autora „Doliny Issy” z krajem swojej młodości.

Jego relacje z rodakami, zwłaszcza z powstałym po 1989 roku Związkiem Polaków na Litwie, były dość skomplikowane z uwagi na kilka epizodów z życia noblisty, świadczących jakoby o tym, że wypierał się polskiego pochodzenia. Ujmę to krótko: tożsamość Cz. Miłosza nie była jednoznaczna – ani tylko polska, ani tylko litewska, lecz wywodząca się z wielokulturowości Wielkiego Księstwa Litewskiego, co sam poeta niejednokrotnie podkreślał.

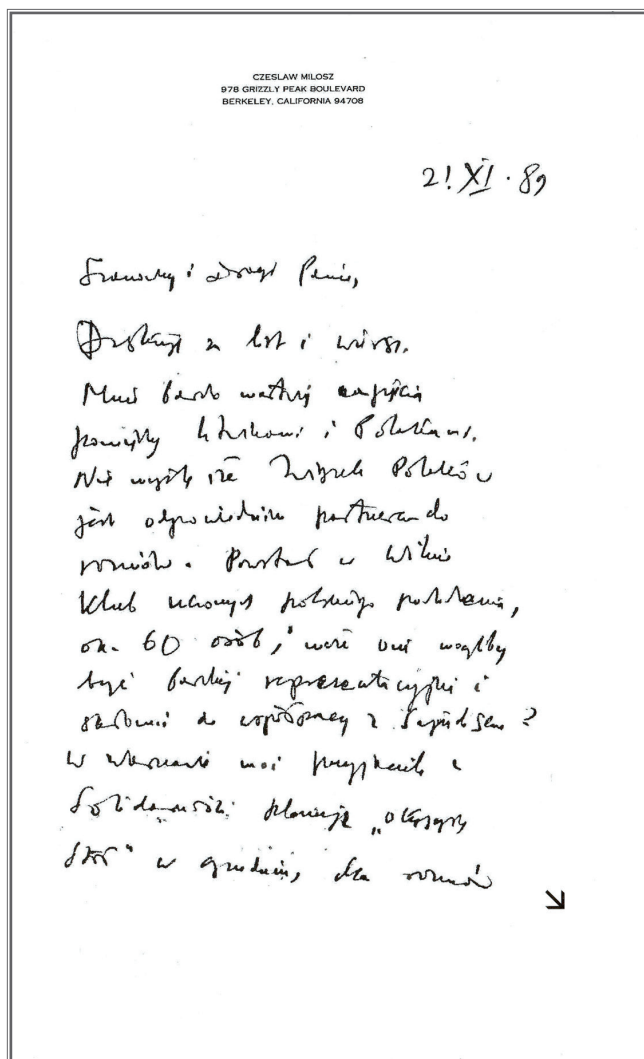
Ojciec miał okazję spotkać się z Cz. Miłoszem dopiero w lipcu 1999 r. i to w niecodziennych okolicznościach. Spędzając jak zwykle urlop na Litwie, spacerował z mamą po starówce w Wilnie, kiedy zauważył noblistę w otoczeniu delegacji w odległości kilkunastu metrów. Był tym faktem zaskoczony, gdyż nie wiedział nic o jego wizycie w litewskiej stolicy. Wówczas po prostu podszedł do niego i się przedstawił. Zaskoczenie było oczywiście obopólne. Pomimo korespondencji, jaką utrzymywali, Cz. Miłosz nie wiedział, jak ojciec wygląda. Ze względu na napięty grafik pisarza doszło tylko do krótkiej, ale bardzo sympatycznej rozmowy.

Jak wcześniej napisałam, obaj poeci korespondowali ze sobą. W pierwszym liście, z 1988 r. Cz. Miłosz odnosi się do pytania H. Szyłkina o spływ kajakowy, jaki odbył onegdaj Żejmianą. Próbuje przy tym zlokalizować Santokę, rodzinny zaścianek ojca, lecz robi to błędnie. Dopytuje też o aktualny stan miejsc szczególnie mu bliskich: wieś Świętobrość z grobami jego rodziców oraz kamienicę na Łukiszkach, gdzie mieszkał w czasach studenckich.

„W Szetejniach nie ma właściwie co fotografować, a drzewa w parku ścięto. Ale Svendybrastis, tak? Czy stoi drewniany kościół? A w Wilnie kamienica czynszowa Łukiszki, Podgórna 5?”.

Z tego samego roku pochodzi list, w którym Miłosz reaguje na doniesienia ojca o stanie przyrody w rejonie kiejdańskim, skąd pochodził i wyraża swoje oburzenie zatruciem rzeki Niewiaży, którą czytelnicy poznali pod nazwą Issy, a którą poeta opisywał jako element arkadyjskiego krajobrazu. „Rozumiem, że w Kiejdanach są chemiczne zakłady, ale co w Szetejniach, żeby tam rzekę zatruć?”.

Cz. Miłosz traktował ojca jako eksperta do spraw polsko-litewskich z racji silnych związków H. Szyłkina ze środowiskami



Pierwsza strona listu Czesława Miłosza do Henryka Szyłkina z 21 listopada 1989 r.

kulturalnymi obojga narodów. Noblista bardzo ubolewał nad kryzysem stosunków między naszymi narodami, który miał związek z zaszciościami historycznymi. Chodzi w głównej mierze o, jak wyjaśnia Wikipedia, „polsko-litewski konflikt zbrojny w dwudziestolecie międzywojennym pomiędzy odrodzoną II Rzeczpospolitą Polską i nowo powstałą Republiką Litewską. Konflikt dotyczył sporu o przynależność państwową terenów granicznych Wileńszczyzny i Suwalszczyzny. Zasadniczą osią sporu było jednak Wilno: miasto pod względem historycznym stanowiło część Litwy, jednak większość jego ludności posługiwała się wówczas językiem polskim i czuła się związana z odradzającym się państwem polskim”.

„Pragnieniem Miłosza na pewno była Litwa, w której różnorodność nawarstwiała się wiekami, autentyczna, stanowiąca o specyfice kraju – jest traktowana jak bogactwo, a nie ciężar”. Zainteresowanych tą tematyką odsyłam do artykułu Agnieszki Stawiarskiej „Wstyd panicza” w „Tygodniku Powszechnym” (27/2011).

Jedno można rzec na pewno, Cz. Miłosz był nieustającym orędownikiem dialogu między Litwinami, Polakami z Litwy i Polakami z Macierzy, który dobrze zna wagę argumentów wszystkich stron. O tym, jak sprawa rozwiązania tych problemów leżała pisarzowi na sercu, świadczą listy.

W korespondencji z 1989 r. wspomina o trudnych relacjach między Związkiem Polaków na Litwie i Sajudisem – Litewskim Ruchem na rzecz Przebudowy powstałym w 1988 r. oraz pisze o pomysłach przyjaciela z Solidarności, który chciał zorganizować w grudniu „okrągły stół” do rozmów między Litwinami i Polakami. „Mnie bardzo martwią napięcia pomiędzy Litwinami i Polakami. Nie myślę, że Związek Polaków jest odpowiednim partnerem do rozmów. Powstał w Wilnie klub uczonych polskiego pochodzenia, ok. 60 osób i być może oni mogliby być bardziej reprezentacyjni i skłonni do współpracy z Sajudisem”.

We wrześniu 1992 r. Miłosz napisał do ojca, odnosząc się na gorąco do swojej pierwszej po 52 latach wizyty na Litwie i trudnych dla niego pod względem mentalnym spotkań z rodakami. „Mój pobyt na Litwie w końcu maja i na początku czerwca był dla mnie silnym przeżyciem, niestety moje spotkania z Polakami w Wilnie napotykały na różne uprzedzenia i nieporozumienia”.

W korespondencji znalazły się również podziękowania za przesłanie książki „W stronę Ostrej Bramy”, której autorem jest ojciec oraz wspominkowe nawiązania do dwóch malowniczych litewskich rzek Żejmiany i Niewiaży. Tę ostatnią, nad którą poeta spędził kilka lat swojego dzieciństwa, miał okazję ponownie zobaczyć. „Niewiaża bardzo zmieniona, twierdzą jednak, że są w niej jeszcze ryby. Myślałem o podróży Pana w tamte strony”.

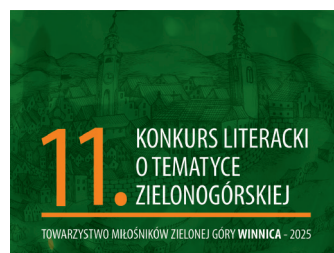
Pokłosiem owej sentymentalnej podróży do kraju młodości jest między innymi wiersz „W Sztejniach”: „Ty byłaś mój początek i znów jestem z tobą, / Tutaj, gdzie nauczyłem się czterech stron świata (...) / Gdziekolwiek wędrowałem, po jakich kontynentach, / zawsze twarzą byłem zwrócony do Rzeki. / Czując aromat i smak rozgryzionej biało-czerwonej soczystości ajeru. / Słyszając stare pogańskie pieśni żeńców wracających z pola. / Kiedy słońce pogodnych wieczorów dogasało za pagórkami (...)”

List z 1993 r. został napisany w podobnym tonie co ten z 1992. Znów pojawiają się w nim gorzkie refleksje na temat nieporozumień z rodakami z Litwy. „Polacy wileńscy są bardzo na mnie cięci (...), że podaję się za Litwina, ale jak Pan wie, moje przemówienie w Kownie, (...) nie daje podstaw do takiego twierdzenia, natomiast władze litewskie, jak Pan pisze, podejmowały mnie jako Polaka sprzyjającego Litwie”.

Noblista odnosi się również krytycznie do pomysłu powołania do życia Polskiego Uniwersytetu w Wilnie, ale także wyraża oburzenie z powodu antypolskiego i szowinistycznego artykułu, który ukazał się w czasopiśmie „Literatura Ir Menas”. Końcowe słowa są jednak optymistyczne, bo zapowiadają „Środę Literacką”, poświęconą poezji o Wilnie w języku polskim i litewskim.

Czytając korespondencję obu poetów, odnoszę nieodpartą wrażenie, że Cz. Miłosz znalazł w osobie ojca pokrewną duszę, która jak on kocha i rozumie Litwę. W dowód wdzięczności za zaangażowanie ojca w poprawę stosunków polsko-litewskich przesłał mu opatrzoną dedykacją książkę „Dolina Issy”.

## Z miłości do miasta



Organizatorem konkursu jest Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”. Praca powinna mieć formę poetycką lub prozatorską (opowiadanie, legenda, esej). Ich tematyka jest dowolna. Praca musi jednakże w swej treści nawiązywać do tematu Zielonej Góry. Mile widziane teksty odnoszące się do przypadającego w 2025 r. 80-lecia miasta w granicach Polski i 75-lecia podniesienia Zielonej Góry do rangi stolicy województwa.

Prace nieprzekraczające 10 stron w trzech egzemplarzach (1800 znaków na stronie) należy przesyłać tradycyjną pocztą pod adresem: Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, ul. Lisia 37, 65-093 Zielona Góra. Każda praca powinna być opatrzona godłem. W kopercie oznaczonej tym samym godłem należy umieścić: imię i nazwisko autora, adres, e-mail, numer telefonu. Przesyłkę należy podpisać „Konkurs na utwór zielonogórski”. Ponadto utwór zapisany w formacie doc/docx należy przesłać pocztą elektroniczną pod adresem: tmzg-winnica@o2.pl. W tytule maila proszę podać „Konkurs literacki”.

Prace będzie oceniać jury. Nominowani zostaną poinformowani o tym drogą telefoniczną lub mailową. Uehonorowanie laureata nastąpi podczas gali w listopadzie br.

Nagrodą główną jest dyplom i wydanie książki laureata (który przekaże materiał do druku organizatorom konkursu do 31 maja 2026 r.). Termin nadsyłania prac – 30 września 2025 r.

Szczegółowy regulamin znajduje się na [www.tmzg.org.pl](http://www.tmzg.org.pl).

## Nagroda literacka Winiarka 2025

Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka” przyznaje Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica” za szeroko pojętą działalność pisarską, a szczególnie za: prace poetyckie i prozatorskie sytuujące Zieloną Górę jako miejsce akcji i jako podmiot ekspresji twórczej; dzieła autorstwa regionalnych poetów, pisarzy, dziennikarzy i innych osób, których prace wyróżniają się znakomitą warsztatą literacką; prace naukowe odnoszące się do popularyzacji literatury regionu; prace publicystyczne uwzględniające dzieje miasta i jego najważniejszych obywateli. Kandydatów mogą zgłaszać instytucje, stowarzyszenia i osoby prywatne przesyłając pisemny wniosek pod adresem: Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, ul. Lisia 37, 65-093 Zielona Góra lub e-mail: [tmzg-winnica@o2.pl](mailto:tmzg-winnica@o2.pl) do 15 października 2025 r. Laureatem wyróżnienia można zostać tylko jeden raz. Regulamin jest na [www.tmzg.org.pl](http://www.tmzg.org.pl).

# Bardzo krótki żywot dziennika

„Codzienny Express Zachodni” zajął pomieszczenia „Gazety Nowej”. Jako dziennik o zasięgu regionalnym ukazywał się od 27 sierpnia 1993 do 31 lipca następnego roku. Potem jako tygodnik wychodził jeszcze przez niespełna dwa miesiące.

„Gazeta Nowa” z 26 sierpnia 1993 roku informowała: „Dziś oddajemy do Waszych rąk ostatni numer GN. Z dniem jutrzejszym GN przestaje istnieć. Jej miejsce na rynku prasowym zajmie »Codzienny Express Zachodni«”. Następnego dnia w punktach sprzedaży pojawił się zapowiadany tytuł. Na stronie 1 było: „Wchodząc po raz pierwszy do Państwa domów, kłaniamy się pokornie: oto my na rodzinnej fotografii (obok zdjęcie wykonane przez Czesława Łuniewicza – EBJ) – administracja, księgowość, skład, komputery, korekta, biuro ogłoszeń. I dziennikarze. Oddajemy pod Państwa ocenę nasze pomysły, nasz wysiłek i pracę (...) Pozwólcie Państwu towarzyszyć sobie również jutro, od rana. I w następane dni”. Podpisała się Halina Ańska-Skarbek, redaktorka naczelna „CEZ”. W stopce redakcyjnej brakuje informacji, kto jest właścicielem gazety. Chyba że przyjmie się, iż chodzi o Lecha Daniłowicza, który występuje

w stopce jako pełnomocnik wydawcy. Dlaczego redakcja ukrywała, że właścicielem jest należąca do L. Daniłowicza firma Roko, handlująca winem?

Większość zespołu redakcyjnego stanowiły osoby, które pracowały w „Gazecie Nowej”, najpierw wydawanej przez zielonogórskie Alpo, potem przez poznańską Oficynę Wydawniczą „Głos Wielkopolski”. Przy główce „CEZ” wisiała informacja, że gazeta ukazuje się w Gorzowskim, Legnickim i Zielonogórskim. Redakcja miała oddziały w Gorzowie, Głogowie, Lubinie. Drukiem zajmowała się zielonogórska firma Poligraf. Wydanie codzienne miało osiem stron i czterostronicowy dodatek, magazynowe – 16. W poniedziałek wychodził „Express Sportowy”, we wtorek – „Moto Express”, w środę – „V Kolumna”, w czwartek – „Biznes Express”, w piątek ukazywał się na trzy dni „Extra Express” z wkładką „Tele Przyjaciel”. Wydanie codzienne kosztowało 3 tys. zł, magazyn – 5 tys.

Zawartość podstawowej części „CEZ” była tradycyjna. Informacje ze świata i kraju pochodziły z serwisów agencyjnych, wiadomości regionalne przygotowywali miejscowi dziennikarze. Mimo że gazeta ukazywała się rano, charakter publikowanych w niej treści był zbliżony do popołudniówki, na przykład: „Banki trzeźwieją po kolei”, „Kto robi Tuskowi dobrze”, „Oskubany Portugalczyk”, „Seks w szkolnej ławce”, „Morderca jest w lesie”, „Złotonośne łąki Kargowej”, „Bąsik pojmany”, „Ośmiolatka urodziła bliźniaki”, „Marcinkiewicz – persona non grata”. Nr 1 otwierał artykuł „Mówi Morawski”. Czytamy w nim: „Na pierwszy ogień idzie Morawski, zielonogórski biznesmen, właściciel dużej firmy zajmującej się

przetwórstwem i eksportem płodów leśnych i rolnych. Sponsor żużlowego klubu Morawski. Również posiadacz stadionu żużlowego w Zielonej Górze. Dzisiaj jego firmie grozi upadłość, a on sam cieszy się coraz większym zainteresowaniem prasy”. Sporą część każdego wydania zajmowały ogłoszenia. Ukazywały się stałe rubryki, np. „Redakcja pomaga”, „Co Gdzie Kiedy?”

W numerze 37 (18 października) H. Ańska-Skarbek poinformowała, że ze względu na chorobę, rezygnuje z kierowania redakcją. Redaktorem naczelnym został Dariusz Witczak. 24 listopada ukazała się informacja, „Halina Ańska-Skarbek nie żyje”.

Od początku „CEZ” miał rozmaite problemy. W listopadzie 1993 r. zwroty sięgały 73 proc., mimo że redakcja zmieniła winięty na, jak twierdziła, nowoczesną, „tak jak nowoczesna będzie nasza gazeta”. Nie pomagały konkursy dla sprzedawców (nagroda główna telewizor kolorowy Curtis, miksery). Próbowano odmłodzić zespół, dlatego ukazało się ogłoszenie: „Superokazja! Możesz zostać dziennikarzem. Jeśli chcesz zmieniać świat i wkładać kij w mrowisko, a na dodatek umiesz pisać, przyjdź do nas”. Wprowadzono nowe rubryki, np. naukę angielskiego i niemieckiego, strony dla dzieci. Korespondent „CEZ” pisał z republik południowych byłego Związku Radzieckiego.

W magazynie 29-31 lipca 1994 r. na str. 1 pod tytułem „Do zobaczenia w »Extra« – tygodniku dla całej rodziny” wołał jeszcze większy tytuł: „Ostatni taki Express”. Redakcja wyjaśniała: „Kłopoty finansowe, jakie przeżywa od kilku miesięcy nasze wydawnictwo, zmuszają nas do zaprzestania wydawania »Codziennego Expressu Zachodniego« w dotychczasowej formule. Od przyszłego tygodnia »Express« będzie się ukazywał w każdy czwartek jako tygodnik. Zmieni się jego szata graficzna i zawartość tematyczna. »Extra« – tygodnik dla całej rodziny będzie pismem lekkim, łatwym i przyjemnym”.

Niecałe dwa miesiące później przestał wychodzić tygodnik „Extra”. Ukazało się 147 numerów „CEZ”.



# Do czytania na ekranie komputera

W 2024 roku Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze kontynuowała rozwój Zielonogórskiej Biblioteki Cyfrowej. W tym roku było ponad 700 tys. udostępnień.

W 2006 r. WiMBP przystąpiła do projektu ZBC, stworzonego rok wcześniej przez Uniwersytet Zielonogórski. Miała to być regionalna biblioteka cyfrowa, której głównym celem było zapewnienie powszechnego, bezpłatnego oraz zdalnego dostępu do zasobów cyfrowych źródeł wiedzy oraz edukacyjnych, cyfrowych kopii najcenniejszych zabytków kultury piśmienniczej, kolekcji dzieł sztuki i materiałów regionalnych.

W ostatnim roku WiMBP wzbogaciła zbiory ZBC o 575 publikacji. Przykładowo w 2024 r. wprowadzono do ZBC 80 pozycji zdigitalizowanych w ramach projektu „Digitalizacja starodruków i tek prof. J. Kostrzewskiego ze zbiorów Biblioteki Norwida i Seminarium w Paradyżu – IV etap”. Ponadto do ZBC trafiły kolejne numery czasopism „Pro Libris Lubuskiego. Pisma Literacko-Kulturalnego” i „Zielonogórskich Studiów Bibliotekoznawczych” oraz kolekcje rysunków z poszczególnych edycji konkursu „Otwarty Międzynarodowy Konkurs na Rysunek Satyryczny”.

We wcześniejszych latach z zasobów zielonogórskiej Biblioteki Norwida wprowadzono do ZBC różnego rodzaju zbiory regionalne: wydawnictwa zwarte i ciągłe; zbiory specjalne: grafikę, rysunek, wydawnictwa zwarte i kartografie XIX-wieczne oraz XIX – i XX-wieczne zbiory magazynowe. Według stanu z 31 grudnia 2024 r. w ZBC udostępnionych było 36 699 dokumentów ze zbiorów WiMBP.

Powyższe działania wpisują się w długofalową strategię digitalizacyjną prowadzoną przez bibliotekę od kilkunastu lat zakładającą udostępnianie różnych zbiorów w wersji cyfrowej w ZBC. W pierwszym etapie były to zbiory własne (przeważnie starodruki), następnie rozpoczęto digitalizację głównych regionalnych tytułów prasowych. Założenia projektu od początku przewidywały także nawiązywanie współpracy w celu digitalizacji cennych zasobów innych lubuskich instytucji kultury i nauki. Przykładem tego rodzaju działań była umowa zawarta z Zielonogórsko-Gorzowskim Wyższym

Seminarium Duchownym w Paradyżu w 2018 r. Ocena wartości i znaczenia kolekcji, jak i samej inicjatywy, umożliwiły uzyskanie dofinansowania z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego. Pięć kolejnych projektów digitalizacyjnych, każdorazowo obejmujące zbiory obu partnerów, zrealizowano w latach 2020-2024, szósty wniosek jest w trakcie składania do MKiDN. W ramach tych projektów zdigitalizowano i umieszczono w ZBC m.in. zbiór XVII wiecznych druków okolicznościowych pochodzących z paradyskiej biblioteki. Są to krótkie najczęściej kilku – czy kilkunastostronicowe, katolickie oraz protestanckie kazania, żałobne panegiryki, polemiczne dyskusje religijne, życzenia i gratulacje ślubne, mowy uniwersyteckie i jubileuszowe, traktaty teologiczne oraz filozoficzne, które zostały wydane przede wszystkim w drugiej połowie XVII w.

Kolejnym istotnym elementem przyjętej strategii digitalizacji stało się udostępnienie w ZBC regionalnych tytułów prasowych. Pierwszym większym zrealizowanym zadaniem było umieszczenie w przestrzeni cyfrowej wszystkich roczników „Gazety Zielonogórskiej”, „Gazety Lubuskiej” z lat 1950-2000. Warto wspomnieć, że tytuł ten cieszy się dużym zainteresowaniem czytelników w ZBC, ponieważ był i nadal jest podstawowym i wartościowym źródłem wiedzy o regionie lubuskim. Projekt dofinansowano ze środków MKiDN oraz urzędu marszałkowskiego i Urzędu Miasta Zielona Góra.

Zasoby ZBC były systematycznie wzbogacane o tytuły czasopism regionalnych. Kolejnym był „Grünberger Wochenblatt”, najważniejsze wydawnictwo prasowe dla historii Zielonej Góry z lat 1825-1944. Digitalizacji poddano wszystkie roczniki znajdujące się w zbiorach biblioteki im. Norwida, a także Archiwum Państwowego w Zielonej Górze. Podjęto także współpracę z Biblioteką Uniwersytecką we Wrocławiu. Doprowadziło to do umieszczenia w ZBC kolejnych roczników „GW” – skanów wykonanych z mikrofilmów pochodzących z zasobów wrocławskiej biblioteki.

Pozostałe czasopisma regionalne zdigitalizowane w poprzednich latach przez WiMBP i udostępniane w wersji cyfrowej ZBC to m.in.: „Grünberger Hauskalender” (wydawany również jako „Haus-Kalender für den Kreis Grünberg in Schl”, „Heimatkalender für die Kreise Grünberg und Freystadt” – część roczników występuje w Bibliotece Cyfrowej Uniwersytetu Wrocławskiego) z lat 1911-1941; „Zielonogórska Gazeta Nowa” z lat 1990-1993; „Pionierzy” z lat 1996-2006, „Pro Libris” z lat 2001-2024; „Zielonogórskie Studia Bibliotekoznawcze” z lat 2002-2024.

Część umieszczonych w przestrzeni cyfrowej tytułów m.in. „Grünberger Wochenblatt” wymaga jeszcze uzupełnień o brakujące roczniki i numery, których poszukiwania trwają w bibliotekach zarówno w Polsce jak i za granicą.

Najważniejszym wyznacznikiem słuszności obranych działań jest corocznie wzrastająca liczba udostępnień/wyświetleń obiektów ze zbiorów WiMBP: w 2024 r. wyniosła 706 029 i o 273 123 była większa niż w 2023.



Alicja Błażyńska

## Stary Rynek 14 i 15

Do dziś wśród starszych mieszkańców Zielonej Góry krąży mit Ratuszowej, restauracji która przez kilka dekad królowała przy deptaku. Usytuowana przy niegdysiejszej ul. Bohaterów Stalingradu (obecnie Stary Rynek) w dwóch kamienicach pod numerami 14 i 15 przyciągała mieszkańców miasta i przyjezdnych dobrym jedzeniem, świetną obsługą i rozpoznawalnymi bywalcami.

Na początku XX wieku stały tu dwa budynki. Przeglądając się fotografii z przełomu XIX i XX w. można wysnuć wniosek, że każdy z nich pełnił inną funkcję. Narożny, od strony ul. Mariackiej, był siedzibą wydawnictwa i drukarni Löbner & Co. Świadczą o tym napisy reklamowe umieszczone na całej fasadzie. Budynek obok, nieoznakowany żadnymi szyldami, prawdopodobnie na parterze miał również przeznaczenie użytkowe, a wyżej mieszkania. Krótco po drugiej wojnie światowej gospodarzem parteru pod numerem 15 została Spółdzielnia Spożywców „Wagmo”, był tam sklep obsługujący przede wszystkim pracowników późniejszego Zastalu. Pod czternastką swoją siedzibę miał między innymi Zakład Radio-Techniczny (nazwa oryginalna) i Zakład Mechaniczny. Widać to na zdjęciu z 1949 roku autorstwa Jana Bułhaka, który w tamtych latach na zlecenie Instytutu Zachodniego fotografował miasta ziem zachodnich i północnych.

Na początku lat 50. na skutek wojennych uszkodzeń i późniejszych zaniedbań oba budynki popadły w ruinę. Ich stan był tak zły, że w 1954 r. postanowiono je wyburzyć i postawić nowe, nawiązujące kształtem do pierwotnych obiektów. Jeden z nich podniesiono o piętro, oba zamknięto stromymi dachami. Dodatkowo, by wyrównać linię zabudowy z sąsiedzącymi gmachami, cofnięto je o metr. Po zakończeniu remontu na parterze obu otwarto restaurację Ratuszowa. Początkowo na fasadzie umieszczono metaloplastykę z nazwą lokalu, a w latach 70. zdobił ją już neon o bładoniebieskim świetle, który obeerzce można na widokówkach z tamtego okresu. Autorem liternictwa był prawdopodobnie Klem Felchnerowski – artysta malarz, wojewódzki konserwator zabytków, jeden z najbardziej rozpoznawalnych bywalców restauracji. Miał w niej swój stolik, przy którym zgłębiał lekturę codziennych gazet: „Trybuny Ludu” (z uwagi na rubrykę sportową), „Przeglądu Sportowego” i „Gazety Zielonogórskiej”. Na tym miejscu nie mógł nikt usiąść. Goście, którzy nieświadomie wybrali stolik w rogu po lewej stronie, byli proszeni przez kelnera o zmianę miejsca. Często dosiadał do niego artysta malarz Hilary Gwizdała, z którym łączyła go wieloletnia przyjaźń. Przy stoliku można było również spotkać żurnalistów, ulokowanego

w sąsiedniej kamienicy, dwutygodnika „Nadodrze”. Legenda Klema tak bardzo zrosła się z lokalem, że gdy w 2013 r. zaproponowano ustawienie pomnika artysty koło Muzeum Ziemi Lubuskiej, ówczesny wicedyrektor tej instytucji Leszek Kania bardzo naciskał, by miał on formę postaci siedzącej przy stoliku, czytającej wspomniane wyżej czasopisma. I tak się stało.

W czasach PRL-u Ratuszowa była jednym z nielicznych ekskluzywnych lokali w mieście. Tu na niedzielnych obiadach pojawiała się śmietanka towarzyska i urzędnicza Zielonej Góry. Dbano o każdy szczegół – stoliki nakryte były wykrochmalonymi białymi obrusami, jedzenie zawsze świeże i smaczne, a wódeczka schłodzona. W informatorze Krajowej Agencji Wydawniczej czytamy, że jest to restauracja II kategorii ze 100 miejscami wewnątrz i 40 na tarasie. Szumna nazwa „taras” oznaczała 10 stolików czteroosobowych z parasolami, ustawionych na trakcie pieszym przed lokalem.

Fenomen Ratuszowej nie przetrwał trudnego okresu transformacji ustrojowej. Po rozpadzie Zielonogórskich Zakładów Gastronomicznych nowi właściciele przemianowali ją na Sambukę i zmienili wnętrze, dopasowując do nowych standardów. W karcie pojawiły się oryginalne dania, z których pamiętamy do dziś jest egzotyczny filet z rekina. Potem miejsce to zdominował handel, a w latach ekspansji rynku finansowego pomieszczenia przejął Bank PKO. Cyfryzacja życia



Ratuszowa – najpierw na fasadzie była metaloplastyka z nazwą lokalu, a w latach 70. zdobił ją neon o bładoniebieskim świetle

fol. Archiwum

codziennego i rozwój bankowości elektronicznej spowodowały, że i ten najemca wycofał się z zajmowanych pomieszczeń. Przez pewien czas okna świeciły pustkami i wpisywały się w smutną narrację o umieraniu zielonogórskiego deptaka. Wówczas pojawił się Tomasz Brzeziński, właściciel kilku restauracji i hurtowni czeskiego piwa, który postanowił otworzyć w narożnej kamienicy restaurację Hola Mexicana. Zrobił generalny remont lokalu, aranżując jego wnętrze stosownie do nazwy lokalu. W menu pojawiły się dania, które królują w kraju potomków Majów i Azteków: quesadilas, nachos, burritos, tacos. Stopniem ostrości dania dostosowane są do różnych podniebień, a ci, którym marzą się prawdziwie piekące doznania w trakcie posiłku – nie są zawiedzeni. W restauracji prowadzone są także warsztaty degustacyjne z tequillą, koncerty, a nawet tańce latino. Miejsce żyje i tętni dobrą energią.



## Amfiteatr czeka wielka przebudowa

Od 1924 roku w zielonogórskim parku Piastowskim był niewielki teatr leśny. Taka budowla, jaka tam stoi, powstała 52 lata temu. Była to odpowiedź władz województwa i miasta na oczekiwania organizatorów Festiwalu Piosenki Radzieckiej. W 1973 r. na amfiteatralnej scenie stanęli pierwsi wykonawcy piosenki radzieckiej.

15 czerwca 1962 r. po raz pierwszy do Zielonej Góry przyjechali laureaci Ogólnopolskiego Konkursu Piosenkarzy Amatorów Piosenki Radzieckiej. Mieli za sobą eliminacje miejskie, powiatowe i wojewódzkie. Do 1964 r. konkursy odbywały się w kinie Nawa.

I Festiwal Piosenki Radzieckiej odbył się w 1965 r. Siedem kolejnych miało miejsce w Hali Ludowej nie mogącej pomieścić nawet tysiąca widzów, a organizatorom zależało na tym, żeby imprezę obejrzało na żywo dużo więcej zielonogórzan i setki tysięcy telewizorów tak w Polsce, jak i za granicą.

Festiwal Piosenki Radzieckiej powstał w czasie gomułkowskiej tzw. małej stabilizacji. Rozmachu nabrał w czasie gierkowskiej propagandy sukcesu. Pomimo zmiany ustroju w Polsce, wstąpienia do Unii Europejskiej, rozpadu bloku sowieckiego – trzeba przyznać ówczesnym władzom politycznym i administracyjnym województwa to, że doskonale wykorzystali szansę na popularyzację Zielonej Góry w kraju i w tzw. demoludach.

Inicjatorami konkursu i festiwalu byli członkowie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, którzy otrzymali akceptację i poparcie Zarządu Głównego TPPR oraz wojewódzkich władz politycznych i administracyjnych. Większość inicjatorów i organizatorów pierwszych festiwali już nie żyje. Osoby, które pracowały przy imprezie, jako tego, który wpadł na pomysł budowy amfiteatru, wskazują Romana Sochaczewskiego – ówczesnego dyrektora Estrady Ziemi Lubuskiej, odpowiedzialnego za organizację konkursów i pierwszych festiwali. Miał on zwrócić się do ówczesnej sekretarz Zarządu Głównego TPPR Heleny Mikrut, żeby przekonała władze wojewódzkie do budowy amfiteatru. Bezdyskusyjnego potwierdzenia tego faktu nie da się uwiarygodnić, gdyż przechowywane w Archiwum Państwowym w Zielonej Górze nie są udostępniane ze względu na to, że nie zostały opracowane.

Przez pierwsze lata festiwal naprawdę rozwijał się mimo trudnych, wręcz spartańskich warunków. Rosło zainteresowanie imprezą tak ze strony mieszkańców, jak i władz oraz strony radzieckiej. Halina Ańska w książce „XV lat z piosenką radziecką” napisała: „Hala Ludowa pęka w szwach, słoczone są nawet reflektory niezbędne do pracy TV. Impreza przerasta salę, co będzie dalej?” – martwi się autorka, sugerując konieczność podjęcia jakiejś szybkiej decyzji ze strony władz.

I wtedy zapadła decyzja: budujemy amfiteatr! Po latach można stwierdzić, że była to decyzja arbitralna, wsparta akceptacją Zarządu Głównego TPPR i wydziału kultury Komitetu Centralnego PZPR oraz Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Postanowiono wybudować amfiteatr w niespełna rok, żeby odbył się na nim dziewiąty festiwal. Projekt obiektu powstał w Pracowni Urbanistycznej Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, której kierownikiem był Wojciech Kupidura, a zastępcą Janusz Wyczałkowski. Ten drugi nadzorował cały proces powstawania projektu, jak i jego realizację. Projekt wykonał architekt Zbigniew Kmiecik. Rysunki i obliczenia statyczne konstrukcji opracował Tadeusz Radziński. Nadzór nad zadaniem objęła Rejonowa Dyrekcja Inwestycji Miejskich i Osiedli Miejskich w Zielonej Górze, przewodnicząca Wojewódzkiej Dyrekcji Inwestycji. Projekt zakładał, że na widowni będzie 5 tysięcy miejsc siedzących.



Amfiteatr jesienią 2024 r.

fot. Daniel Jung

Włodzimierz Tydor, wówczas asystentowi architekta, mówi, że zlecono mu wykonanie makiety amfiteatru według projektu Zbigniewa Kmiecika. – Wraz z Januszem Wyczałkowskim i Tadeuszem Radzińskim zostaliśmy wezwani do Jana Lembasa, ówczesnego przewodniczącego Prezydium WRN. Mieliśmy ze sobą makietę amfiteatru. Lembas uważnie jej się przyglądał. W pewnym momencie uwagę skupił na dachu w kształcie jaskółki. Ponieważ nie podobał mu się ten pomysł, zaczął rozsuwać dach, co spowodowało uszkodzenie makiety. Wówczas zapytał moich przełożonych, czy otrzymałem zapłatę za wykonaną makietę. Odpowiedzieli twierdząco, ale to nie była prawda, i zaraz zapewnili przewodniczącego, że uszkodzenie zostanie bez problemu usunięte. Notabene dach w kształcie jaskółki był krytykowany także przez niektóre osoby znające się na budownictwie i architekturze.

Na amfiteatr wybrano miejsce w parku Piastowskim, w którym w 1924 r. władze Grünbergu postawiły małą scenę, Waldteather. Obiekt wyposażono w ławki i oświetlenie elektryczne. Wystawiano tam sztuki teatralne oraz organizowano inne imprezy przyciągające mieszkańców na spacer po parku i Wzgórzach Piastowskich. W pobliżu znajdowała się sławna restauracja. Po drugiej wojnie miejsce to było wykorzystywane na potańcówki, koncerty muzyczne i występy

zespołów estradowych na przykład przy okazji Dni Zielonej Góry – Winobrania.

Nieudany projekt amfiteatru i jego lokalizacja od początku stwarzały problemy z wykonaniem, jak i użytkowaniem budowli. Znaczący zagadnienia wskazywali błędy. Jednym z nich jest widownia w kształcie podłużnym, a nie jak budowali starożytni Rzymianie, w kształcie półkola. Ta sprawa jest szczególnie kłopotliwa, jeśli chodzi o nagłośnienie amfiteatru. Uformowanie widowni na gliniastym podłożu sprawia poważny problem z odprowadzaniem wód gruntowych. Gliniaste podłoże uniemożliwia bowiem wsiąkanie wody nagromadzonej w usypanej nadbudowie. Próby jej sztucznie usuwania za pomocą studni służących do pompowania wody okazały się nieskuteczne. Obecnie rury do usuwania wód gruntowych są podłączone do instalacji ściekowych, co jest niezgodne z przepisami prawa.

Inne wady to na przykład położenie obiektu za blisko budynków mieszkalnych przy ul. Ptasiej. W przypadku imprez trwających dłużej niż do godziny 22 okoliczni mieszkańcy zgłaszają policji zakłócanie miru domowego. Brak wystarczająco dużego parkingu powoduje dewastację parku. Wtedy, kiedy budowano amfiteatr, nie wytyczono dróg dojazdowych do sceny. Nie ma jak dowieźć sprzętu niezbędnego do właściwego nagłośnienia, oświetlenia, scenografii itp. Powoduje to także brak możliwości dojazdu wykonawców do amfiteatru, a większość przywozi ze sobą drogie kostiumy i instrumenty muzyczne.

Przy lokowaniu obiektu nie uwzględniono warunków geograficznych. Słońce i wiatr sprawiają, że tylko jego część jest nienarażona na niewłaściwe warunki atmosferyczne, które uniemożliwiają uczestnictwo w imprezach całej widowni.

Dopiero po zachodzie słońca amfiteatr może być wykorzystany w pełni.

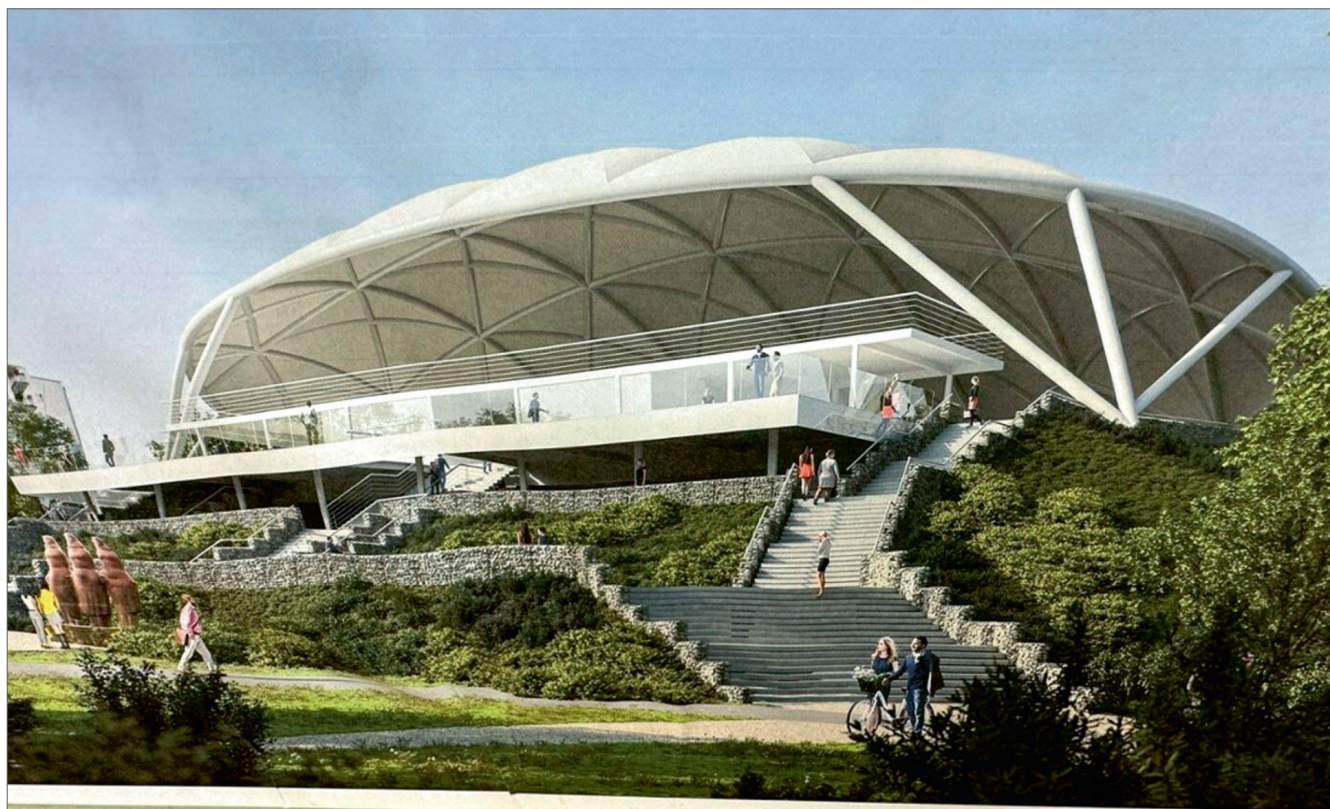
Wtedy, kiedy zapadła decyzja o budowie amfiteatru na Wzgórzach Piastowskich, mało kto wierzył, że w niespełna rok powstanie obiekt. Rekordowe tempo budowy było możliwe dzięki ogromnemu wsparciu ze strony zielonogórzan. Pomagały załogi niemal wszystkich zakładów pracy, szczególnie Lumelu. Na placu budowy byli obecni uczniowie i żołnierze.

Ci, którzy obserwowali budowę twierdzą, że niekiedy amfiteatru usypano z płyt nagrobnych zwiezionych z wcześniej zlikwidowanego cmentarza przy ul. Wazów. Uzupełniono ją gruzem z pałacu na Zatoniu i ziemią z wykopów, gdzie budowano osiedla mieszkaniowe. Przywożone nagrobki, gruz i ziemię zrzucono na rodzime gliniaste podłoże. Powstało także zaplecze sceny, w którym znalazł swoje miejsce Zielonogórski Ośrodek Kultury.

W czerwcu 1973 r. odbył się tam IX Festiwal Piosenki Radzieckiej. Kolejne festiwale aż do 1989 r. także tam się odbywały. Amfiteatr był miejscem m.in. Polonijnych Spotkań z Polską Piosenką, koncertów z okazji świąt państwowych, występów znanych i popularnych artystów. Po 1989 r. miejsce to służyło Festiwalowi Piosenki Zjednoczonej Europy, Festiwalowi Tańczące Eurydyki, Festiwalowi Pokój i Dobro, kabaretobraniam.

Patronką amfiteatru jest Anna German. Obiekt znajduje się w rejestrze zabytków województwa lubuskiego.

Poprzedni prezydent Janusz Kubicki mówił o postawieniu w tym miejscu czegoś, co będzie salą koncertową centrum kongresowym. Obecny prezydent Marcin Pabierowski podpisał umowę z firmą z Opola, która ma przygotować projekt przebudowy amfiteatru.



Tak ma wyglądać przebudowany amfiteatr. Pod zadaszeniem znajdzie się 3 tys. miejsc siedzących. Od strony parkingu do wejścia będą prowadziły reprezentacyjne schody.

fot. Archiwum

## Mobilność w elektrycznym wydaniu

Ponad połowa Polaków rozważa zakup pojazdu elektrycznego. Jeśli się na niego zdecydują, być może ładowanie ich nowych „czterech kółek” będzie możliwe także dzięki zielonogórskiej firmie Stacjomat.pl.

Z badania przeprowadzonego przez serwis internetowy rankomat.pl w 2024 r. wynika, że 56 proc. Polaków rozważa zakup samochodu elektrycznego. To ogromny skok, bo jeszcze parę lat temu było to zaledwie kilka-kilkanaście procent. Ostatnie lata pokazują jednak, że branża elektromobilności w naszym kraju rozwija się bardzo dynamicznie.



Piotr Szymczak z nagrodami marszałka województwa lubuskiego i nagrodą publiczności

Pokazuje to także przykład zielonogórskiej firmy Stacjomat.pl zajmującej się montażem stacji ładowania pojazdów elektrycznych – samochodów, rowerów oraz hulajnóg – a także pełniącej funkcję operatora elektromobilności: obsługą stacji ładowania i płatnościami przez korzystających z takiej infrastruktury.

Jak mówi właściciel firmy Piotr Szymczak, elektromobilnością zajmuje się od ośmiu lat, czyli niemal od początków jej istnienia w Polsce. – Lubię zarabiać na życie na tym, co sprawia mi przyjemność, jest ciekawe, a jednocześnie pożyteczne dla społeczeństwa – podkreśla. Początki jego działalności to

tak zwana mała elektromobilność, czyli stacje ładowania dla elektrycznych hulajnóg i rowerów. – Ale cały czas chciałem czegoś więcej – zaznacza. Droga, jaką zaczął podążać, nie mogłaby być chyba inna: z elektrycznych jednośladów „przesiadł się” na samochody.

Zaczął się jednak zupełnie niewinnie, podczas wyjazdu do Holandii niezwiązanego z pracą zawodową, czyli elektromobilnością. Zaciekawilo go, dlaczego na jednym z parkingów prawie każde miejsce parkingowe ma swój własny parkomat. – Holender, z którym się wtedy spotkałem, spojrzał na mnie zaskoczony, a potem odparł, że parkomat na tym parkingu jest tylko jeden, a cała pozostała infrastruktura to stacje ładowania dla elektryków. Zacząłem go podpytywać o szczegóły i wtedy dowiedziałem się, na jak wysokim poziomie znajduje się rozwój elektromobilności w Holandii – opowiada P. Szymczak.

Po powrocie z Królestwa Niderlandów rzucił się w wir lektury publikacji poświęconych temu zagadnieniu. – A ponieważ czuję się patriotą, pomyślałem, że najlepszym rozwiązaniem byłoby nawiązanie współpracy z polskim producentem stacji ładowania – dodaje. Nawiązał kontakt z firmą PRE Edward Biel oraz EVB GROUP, producentem stacji ładowania EVB mogącym pochwalić się blisko 30-letnim doświadczeniem w branży, którego jest obecnie

partnerem strategicznym, choć współpracuje także z innymi producentami stacji ładowania. Montuje je w Polsce i w Szwecji dla firm, instytucji, samorządów oraz osób prywatnych. Stacjomat.pl stawia również stacje ładowania dla małej elektromobilności, czyli dla hulajnóg i rowerów.

Czy przesiadka na elektryka się opłaca? – Wystarczy wziąć kartkę oraz ołówek i policzyć, ile kosztuje eksploatacja obu typów pojazdów. Przy elektryku odchodzą chociażby koszty wymiany wielu podzespołów, filtrów czy paska rozrządu – tłumaczy P. Szymczak. – Nie mówiąc już o kosztach paliwa. Jeśli ktoś ma zamontowane panele fotowoltaiczne, to „tankuje” praktycznie za darmo, oczywiście wzięwszy pod uwagę, że najpierw musi zainwestować – zaznacza.

W zeszłym roku Stacjomat.pl otrzymał Nagrodę Gospodarczą Marszałka Województwa Lubuskiego w dziedzinie elektromobilności – za opracowanie autonomicznej obudowy stacji ładowania typu Wallbox w trybie Stand By.

– Otrzymanie tej nagrody było dla mnie wielką radością, ale powiem szczerze, że jeszcze bardziej ucieszyłem się z nagrody publiczności. Fakt, że ją otrzymałem, to dla mnie dowód, że ludzie związani z naszą branżą dobrze mnie postrzegają i lubią. A ja z kolei lubię żyć w harmonii ze wszystkimi – twierdzi P. Szymczak. Wychodzi z założenia, że współpraca przynosi lepsze owoce niż niezdrowa konkurencja. – Razem możemy osiągnąć znacznie więcej niż gdybyśmy ze sobą walczyli.

fot. Archiwum Stacjomat.pl

### DALEKO ZA LIDERAMI

Liczba publicznych (ogólnodostępnych) punktów ładowania pojazdów elektrycznych w Polsce wynosi prawie 8200 (na ponad 4500 stacjach ładowania – stan na koniec października 2024 r). Dla porównania europejscy liderzy mają odpowiednio: Holandia – ponad 140 tys., punktów ładowania; Niemcy – ponad 120 tys.; Francja – prawie 120 tys.

Źródło: rynekelektryczny.pl, elektro.info.pl.

Ryszard Zaradny

## Koryfeusz lubuskiej regionalistyki

W historii bywają osoby, które wywierają wyjątkowo znaczący wpływ na rozwój miejsca swojej aktywności. Niewątpliwie taką osobą był prof. dr hab. Hieronim Szczegółta. Wpływał na kształt rozwoju naszego regionu zarówno poprzez działania organizacyjne, jak i naukowe. Był niekwestionowanym autorytetem.

Hieronim Szczegółta urodził się w 1931 roku w Rostarzewie – wsi położonej 7 km na wschód od Wolsztyna i 22 km od graniczącej z Niemcami Kopanicy. We wrześniu 1939 r. rejon ten został bezpośrednio włączony w obszar państwa hitlerowskiego jako okręg Rzeszy Kraj Warty (niem. Reichsgau Wartheland). Już 21 września niemiecki namiestnik Arthur Greiser jednoznacznie określił zasady postępowania wobec mieszkańców: „My, Niemcy, przyszliśmy jako panowie, a Polacy mają być odtąd naszymi sługami”. Toteż małoletni Hieronim okres wojenny spędził na przymusowej pracy u niemieckich bauerów. Ojciec brał udział w powstaniu wielkopolskim, w wojnie z bolszewikami w 1920 r. i w kampanii wrześniowej w 1939 r., po czym do końca wojny był w obozie jenieckim. Matkę wysiedlono do Prus Wschodnich. Atmosfera patriotyczna w rodzinie kształtowała postawę młodego Hieronima.

Okupacja hitlerowska przerwała jego edukację, wznowioną dopiero po wojnie. W czasie wojny nie działały polskie szkoły, ale dzięki czytaniu książek i samoedukacji (stare kalendarze, podręczniki) mógł pozytywnie przejść weryfikację z wiedzy wymaganej w szczególnych warunkach powojennych. Po dwuletniej nauce w gimnazjum w Grodzisku Wielkopolskim kontynuował ją w Liceum Pedagogicznym w Sulechowie. Ukończył je w 1951 r. i podjął w nim pracę jako nauczyciel. W 1953 r. skierowano go na studia historyczne w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Pracę magisterską, poświęconą krakowskiej szkole historycznej, napisał pod kierunkiem prof. Józefa Garbaczka.

Po studiach w 1957 r. wraz z poznaną na studiach żoną Zuzanną (ślub w 1956 r.) rozpoczął pracę w Zespole Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Henrykowie, w bliskim sąsiedztwie Szprotawy (będąc zastępcą dyrektora). Zajęcia prowadził z języka polskiego i geografii (historii nauczała żona Zuzanna). H. Szczegółta mieszkając w Szprotawie (od 1966 r. w Zielonej Górze) był niezwykle aktywny w pracy na rzecz regionu zielonogórskiego, zarówno na niwie naukowej, jak i społecznej. Jako pierwszy z lokalnego środowiska doktoryzował się w 1964 r. na WSP w Krakowie na podstawie dysertacji dotyczącej głogowskiej wojny secesyjnej i sześć lat później habilitował na UAM w Poznaniu w oparciu o pracę prezentującą powojenne przemiany społeczno-polityczne na Ziemi Lubuskiej. Następane awanse

**Był jednym z współorganizatorów powstałej w 1965 r. Wyższej Szkoły Inżynierskiej, w której sprawował funkcję zastępcy rektora.**



Hieronim Szczegółta – 1931-2024

naukowe to profesury: w 1975 r. tytuł profesora nadzwyczajnego i w 1987 r. zwyczajnego.

W pracy naukowej prof. Szczegółta skupił się głównie na historii regionu, pogranicza polsko-niemieckiego i metodologii politologicznej. Problematyka ta dominowała zarówno w monografiach i pracach zwartych (29 książek), jak i w artykułach naukowych (ponad 400) a także popularno-naukowych (ponad 200). Z bardziej znaczących wymienić należy: „Słownik nazw geograficznych Ziemi Lubuskiej” (wraz z prof. Wojciechem Pasternakiem), „Koniec panowania piastowskiego nad Środkową Odrą”, „Zielona Góra. Rozwój miasta w Polsce Ludowej”, „Czerwoni marszałkowie. Elita Armii Radzieckiej 1935-1991” (wraz z prof. Bolesławem Potyrałą). Prof. Szczegółta wypromował 16 doktorów i pod jego opieką napisano sześć prac habilitacyjnych.

Prof. Szczegółta od wczesnej młodości był aktywnym organizatorem. Początkowo skupiał się na działalności sportowej (trenował biegi średniodystansowe). W 1952 r. został kierownikiem Wydziału Kultury Fizycznej w Zarządzie Wojewódzkim Związku Młodzieży Polskiej, przewodniczącym Rady Wojewódzkiej Ludowych Zespołów Sportowych,

wiceprzewodniczącym Społecznej Sekcji Lekkiej Atletyki i Społecznej Sekcji Piłki Nożnej, działającej pod egidą Wojewódzkiego Komitetu Kultury Fizycznej. W latach 1967-1973 był prezesem Okręgowego Związku Lekkiej Atletyki (był także sędzią międzynarodowym).

Zdobyte doświadczenie i talent organizatorski zaowocowały w dalszej pracy zawodowej. Podczas pobytu w Szprotawie przewodniczył komisji obchodów 700-lecia miasta, przyczyniając się do odbudowy po zniszczeniach wojennych i utworzył Szprotawskie Towarzystwo Kultury. Był członkiem Rady Naukowej Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. Działał w Lubuskim Towarzystwie Kultury, które od 1959 r. wydawało „Rocznik Lubuski”, a po utworzeniu Lubuskiego Towarzystwa Naukowego w 1964 r. prowadząc seminaria doktorskie.

Główna aktywność prof. Szczegóły ukierunkowana była na kształtowanie szkolnictwa akademickiego w Zielonej Górze. Był jednym ze współorganizatorów powstałej w 1965 r. Wyższej Szkoły Inżynierskiej (w tym czasie był także wykładowcą Studium Nauczycielskiego), w której sprawował funkcję zastępcy rektora. Do 1970 r. był kierownikiem Studium Społeczno-Politycznego. Wraz z decyzją o powołaniu od 1971 r. Wyższej Szkoły Nauczycielskiej powierzono mu jej organizację i funkcję rektora. Dwa lata później WSN przekształcono w pełni akademicką Wyższą Szkołę Pedagogiczną, w której w kadencji 1973-1975 pełnił funkcję rektora. Ponownie powierzono prof. Szczegółe kierowanie uczelnią w 1981 r. po uzyskaniu pozytywnej opinii przez związki zawodowe, w tym NSZZ „Solidarność” (pomimo członkostwa w PZPR). Kolejny raz rektorował WSP w latach 1996-1999. Pełniąc funkcję rektora w czasie stanu wojennego, objął parasolem ochronnym przed represjami działaczy Solidarności i Niezależnego Związku Studentów. Był dyrektorem Instytutu Nauk Społeczno-Politycznych (1974-1983) i Instytutu Historii (1983-1996). Aktywnie uczestniczył w wypracowywaniu modelu utworzenia w Zielonej Górze uniwersytetu, który powstał w 2001 r. W tym czasie przeszedł na emeryturę, ale przez następne 10 lat prowadził wykłady i seminarium doktorskie.

Aktywność naukowa znalazła swoje odbicie w strukturach Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych (jako wiceprzewodniczący) i w Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego w Komisji Dydaktyki (także jako wiceprzewodniczący).

Działalność społeczna prof. Szczegóły nie mogła ująć uwadze lokalnych władz. Od 1961 r. przez 13 lat jako radny był przewodniczącym Komisji Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej. W tym czasie, wraz z innymi aktywistami kultury, wypracowano model określany jako lubuski model ruchu regionalnego („Ziemia Lubuska piękna, kulturalna i gospodarna”). Zaowocowało to takimi inicjatywami jak cykl wystaw w ramach Złotego Grona, festiwal Lubuskie Lato Filmowe, rozwój Lubuskiego Teatru, przekształceniem Zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej w filharmonię czy wybudowanie gmachu biblioteki.

Osiągnięcia prof. Szczegóły były doceniane. W uznaniu zasług dla regionu przyznawano mu odznaczenia i wyróżnienia, m.in. Krzyż Oficerski i Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. W 2010 r. został honorowym obywatelem Zielonej Góry.

H. Szczegóła zmarł 24 sierpnia 2024 r. w Zielonej Górze.

## Ojciec, nie wywalamy tego!

ROZMOWA Z PIOTREM NAWRACAŁĄ –  
MISTRZEM SZTUKI DRUKARSKIEJ

– W najstarszych dokumentach Zielonogórskich Zakładów Graficznych można spotkać nazwisko Nawracała. Pojawiają się tam osoby o imionach Czesław i Zbigniew. Czy to Pana rodzina?

– Zbigniew Nawracała to tato, Czesław Nawracała to mój wujek. Byli kuzynami. Mieli po szesnaście lat, kiedy przyjechali do Zielonej Góry z Wolsztyna w poszukiwaniu pracy. Do pracy w drukarni skaptował ich wuj taty Jan Smerda, lwowski linotypista, który był pierwszym dyrektorem zakładów graficznych w Zielonej Górze. No i chłopaki zaczęły się kształcić na drukarzy. Wuj został maszynistą, ojciec najpierw zecerem, a później już metrapażem na maszynach rotacyjnych w zakładach przy Reja.

– Większość starszych zielonogórczan kojarzy też Nawracałów z wytwórnią pieczętek przy ulicy Drzewnej.

– Początkowo wytwórnię prowadził Jan Błaszczuk. Robił pieczęcie dla szkół i właściwie zakład był cały dzień zamknięty, bo on lubił słuchać Wolnej Europy, a to było wtedy zakazane. Po nim stemplarnię przejął wspomniany Jan Smerda. Mój ojciec dorabiał u niego po nockach. To była żmudna praca, linie tekstu składało się z czcionek, których rozmiar i kroje wyciągało się z szuflad kaszt drukarskich. Praca na własny rachunek tak spodobała się ojcu, że postanowił rozpocząć działalność gospodarczą. Po dwudziestu latach zakończył współpracę z zakładami graficznymi i przejął zakład pieczętkarski najpierw w Lubsku, notabene po Janie Błaszczaku, a po kilku latach w Zielonej Górze po Janie Smerdzie. I tak się zaczęło.

– Kiedy pierwszy raz zetknął się Pan z pracą drukarza?

– Gdy ojciec dorabiał w stemplarniach, a później sam je produkował, w domu pojawiła się kaszta drukarska z czcionkami i popołudniami składał z nich różne teksty na pieczętki. Wtedy podłapałem bakcyła. Pamiętam, że już jako dzieciak jeździłem do Lubsku w okresie ferii pomagać tacie. Oczywiście pomagałem mu, jednocześnie się ucząc.

– Na drukarza?

– Najpierw chodziłem do budowlanki, potem rozpocząłem studia na WSI. Po dyplomie doceniono moje kwalifikacje i zostałem asystentem. Szykowałem się nawet do doktoratu, gdy na rok trafiłem do wojska, gdzie m.in. w Gubinie zmodernizowałem sieć ciepłą. Po powrocie z wojska już nie wróciłem na uczelnię. Ojciec powiedział „Dobrze ci tu zapłacę, ucz się zecerstwa”. No i pracowaliśmy we trójkę, bo dołączył do nas także mój brat. Zdobyłem po drodze tytuły mistrzowskie, bo takie były wówczas wymagane. Gdy miałem ze trzydzieści lat, postanowiłem pójść na swoje. Założyłem firmę pieczętkarską przy Dąbrowskiego, ale poszedłem w nowe technologie, wprowadziłem komputery, lasery. Córka po zakończeniu studiów dołączyła do mnie. Wtedy stwierdziłem, że już tam

nie ma miejsca dla mnie i wtedy zacząłem przygodę z druckarstwem.

– *To nie była tylko jedna drukarnia.*

– Przy Dąbrowskiego w dawnej Odrze wynająłem pomieszczenie i razem z kolegą założyliśmy drukarnię, która nosiła nazwę Nasze, od pierwszych liter naszych nazwisk. Potem była drukarnia Fortis, a jeszcze później na horyzoncie pojawił się zakład Filip, który co prawda miał sporą klientelę, ale i też dość poważne kłopoty. Postanowiłem związać się z nimi i tam zainwestować. Dzięki temu udało się odnowić park maszynowy i wdrożyć nowe technologie. Kiedy już zakład nabrał rumieńców, przemianowaliśmy jego nazwę na Ligatura. Teraz w spółce mamy trzech wspólników: Magda Płońska, Karol Małyśka i ja.



fot. Alicja Błazyńska

**Piotr Nawracała:** – Kiedy na świecie pojawiła się moja wnuczka, zaprojektowałem dla niej klocki ze ścinków tektury ekologicznej, które można wielokrotnie składać, a także kolorować farbami, kredkami czy pisakami.

– *Obok fascynującej historii rodzinnej ściągnęła mnie tutaj kolekcja starych maszyn drukarskich. Jak Pan zdobywał sprzęt, który tu można podziwiać?*

– Maszyny, które pani widzi, pochodzą z różnych miejsc. Wiele z nich po obiekty potatowe. A część po prostu kupiłem. Co ważne, wszystkie są sprawne, można więc śmiało na nich pracować. Każda ma swoją historię i inne przeznaczenie. Jedną z ciekawszych jest prasa nazywana bostonką. Miłośnicy westernów mogli takie maszyny oglądać na filmach, gdy drukowano afisze z podobiznami poszukiwanych przestępców. Ja wykorzystywałem ją między innymi do prac związanych z drukiem „Ennografii Thalloris”, która powstała w Ligaturze. Na uwagę zasługuje złociarka, która była wykorzystywana w pracach introligatorskich. Służyła do wykonywania

przetłoczeń, druku i złączenia papieru, tektury i kartonu. Zupełnie innym urządzeniem jest prasa, na której można wyciskać napis poprzez wypchanie papieru. Stosuje się ją na przykład do produkcji galanterii papierniczej. Swoiste grawerstwo na miękkim podkładzie. Ostatnio drukowaliśmy na niej logo na pudełkach do kosmetyków. Mam też inne pamiątki, stare zdjęcia, oryginalny dyplom wyzwolenia ucznia na czeladnika.

– *Kolekcję dopełniają kaszty drukarskie z różnymi czcionkami. Jakie ma Pan plany wobec zgromadzonych tu maszyn?*

– Córka powiedziała „Ojciec, nie wywalamy tego!”. To przeszłość naszej rodziny. A ja mam inny pomysł. Marzyło mi się zawsze, by prowadzić warsztaty i opowiadać historię drukarstwa od Gutenberga, przez kolejne etapy rozwoju technik drukarskich. Bo przecież typografia nie ogranicza się tylko

do zecerstwa. Wcześniej był linoryt, praca w metalu, drzeworyt, metoda suchej igły. Wieloma z tych technik posługują się do dziś artyści. Miałem już nawet przygotowany dokładny scenariusz. Miałem specjalistów, którzy mogliby poprowadzić takie zajęcia. Jednym z nich był Jerzy Fedro, wybitny grafik i człowiek, który ma świetny kontakt z młodzieżą. Tylko że wszystko rozbiło się o pieniądze. Bo na co dzień muszę dbać o zlecenia, pilnować biznesu, jestem odpowiedzialny za to, by dwadzieścia rodzin moich współpracowników miało co do gara włożyć. Nie widzę dziś miejsca w zakładzie dla takich działań.

– *Czy to oznacza, że planuje Pan rozstanie ze swoim zbiorem?*

– Chciałbym go sprzedać, ale z ideą. Nie mam już siły tego przenosić. Tym bardziej że musimy wynieść się z tego miejsca, bo kupił je Aldemed. Jeżeli więc znajdą się instytucje, które mają pieniądze, to niech biorą.

– *Jest Pan trochę niespokojnym duchem. Ciągłe nowe wyzwania i nowe pomysły. Co więc teraz zajmuje Pana głowę?*

– Równoległe z prowadzeniem drukarni takim moim ekstrazajęciem było projektowanie nietypowych opakowań oraz przyrządów

z kartonu i tektury. Kiedy na świecie pojawiła się moja wnuczka, zaprojektowałem dla niej klocki ze ścinków tektury ekologicznej, które można wielokrotnie składać, a także kolorować farbami, kredkami czy pisakami. Miały być alternatywą dla krzykliwych plastikowych zabawek. I z tego drobnego pomysłu wyklarowało się całkiem poważne przedsięwzięcie o nazwie Cardblobs. Promujemy ten produkt w Polsce. Zaproszono nas też na targi do Hanoweru, byliśmy w Nowym Jorku. Zainteresowanie jest dość duże. W tym widzę przyszłość. I nie tylko z uwagi na biznes, ale na rozwój kolejnego pokolenia.

– *Dziękuję za rozmowę.*

Alicja Błazyńska

Tomasz Kowalski

## Spokojnie, bez nas nie zaczną

„Urodziłem się w Małkini w 1937 roku w lipcu, znaczy w połowie lipca, dokładnie 17 lipca”... Tak zaczyna się jedna ze scen kultowego filmu „Rejs”, w której Stanisław Tym grający kaowca, przedstawia się pasażerom. I to co mówi, jest prawdą.

Urodził się w Małkini, ale młodość spędził w Warszawie. Jako dziecko był świadkiem powstania warszawskiego. Opowiadał, że mama zasłaniała mu oczy, aby nie widział tych strasznych rzeczy. Po wojnie po raz kolejny wymknął się śmierci. Do Polski z USA dotarła penicylina, która uratowała życie małego Stasia. Maturę zdał w wieku 15 lat, później postanowił zostać chemikiem, ale po pierwszym roku wylali go z Politechniki Warszawskiej za brak postępów w nauce. Musząc zarobić na życie, podjął się pracy w słynnym klubie Stodoła, gdzie był bramkarzem i szatniarzem. W Stodole poznał aktora Józefa Parę, który namówił go na podjęcie tego samego zawodu. Skontaktował S. Tyma z Romanem Wilhelmim, a ten zrobił mu szybki kurs aktorstwa.

S. Tym zdał dość szczęśliwie na PWST, a jego interpretacja wiersza Gałczyńskiego spotkała się z uznaniem komisji. Zagrał w epizodach u Broka, Kutza, Morgensterna... Jednak i z tej uczelni został wyrzucony, przez opiekuna roku Jana Świderskiego, z uwagą, że nie nadaje się na aktora. Doznał załamania nerwowego, ale szybko znajduje nowy

sposób na życie, postanowił zostać pisarzem i twórcą skeczy. W 1960 r. trafił do słynnego STS, później poznał Jerzego Dobrowolskiego, a ten poznał go ze Stanisławem Bareją. Pisał też dla kabaretów Lopek, Dudek, Owca, np. słynny skecz „Ucz się Jasiu, ucz” wykonywany przez J. Kobuszewskiego, W. Gołasa i W. Michnikowskiego. W 1970 r. trafił w zastępstwie zmarłego tragicznie Bogumiła Kobieli na plan kultowego

wyjechać z Warszawy i zamieszkać na Suwalszczyźnie we wsi Zakąty. Jednak nie stracił kontaktu z przyjaciółmi w stolicy. Nadal grał w filmach Barei, a najlepszym z nich, którego S. Tym był współscenarzystą i odtwórcą głównej postaci Ryszarda Ochódzkiego, jest „Miś”. Prezes Klubu Sportowego „Tęcza” pojawia się ponownie w filmie Sylwestra Chęcińskiego „Rozmowy kontrolowane” (1991), do którego scenariusz



„Wyglądało groźnie: Stanisław Tym atakuje Tomasza Kowalskiego”. Zdjęcie z takim podpisem ukazało się w „Gazecie Lubuskiej” 3 grudnia 2007 r., wykonane podczas 3. Festiwalu Kabaretu w Zielonej Górze

fot. Tomasz Gawalkiewicz  
(archiwum autora)

„Rejsu” w reżyserii Radosława Piwowarskiego. W 1976 r. podpisał list protestacyjny przeciwko zmianom w konstytucji. W tym samym czasie postanowił

napisał S. Tym i za który to dostał nagrodę w Gdyni. Kolejną kontynuacją przygód Ochódzkiego był „Ryś” (2007), gdzie obok gwiazd filmu polskiego,

jak Z. Merle, M. Piwowski, K. Feldman, E. Lubos, K. Kowalewski, a także G. Szapołowska, B. Tyszkiewicz i K. Janda, które zagrały role sprzątaczek, pojawiają się również członkowie zielonogórskiego środowiska kabaretowego: T. Kowalski, J. Kończakowska, J. Rewers, A. Litwin, P. Żejmo, J.M. Sobański.

S. Tym bardzo sobie cenił kabarety zielonogórskie. Wszystko zaczęło się w warszawskim Teatrze Rampa, gdzie Kabaret Potem miał wspólne występy z S. Tymem. Artysta zaproponował Ninie Terentiew, szefowej TVP2, aby nagrali wspólny program, ale na własnych warunkach. Był bardzo pomocny przy realizacji tego przedsięwzięcia, dużo podpowiadał, pokazywał, jak zagrać niektóre fragmenty skeczy, gdzie zrobić pauzę, gdzie inaczej zinterpretować tekst itp.

W latach 1992-1996 w Winnym Grodzie zorganizowano Zielonogórski Przegląd Sztuki Kabaretowej, który odbywał się w Lubuskim Teatrze. Podczas piątej edycji wystąpiły m.in. formacje Potem, Ciach oraz Stanisław Tym. Gdy w 2005 r. postanowiono kontynuować tę formę rozrywki pod zmienioną nazwą jako Festiwal Kabaretu, S. Tym przyjeżdżał już jako juror. Znów doradzał, podpowiadał, dawał wskazówki.

W 2000 r. Gdańsk postanowił zorganizować widowisko artystyczne, aby uczcić jubileusz satyryka i rysownika związanego z Zieloną Górą – Zbigniewa Jujkę. Zadanie to zlecono S. Tymowi, który zaprosił do udziału kabarety Ciach, Jurki, Szum, Hi-Fi i Władysława Sikorę. W programie nie zabrakło też gwiazd estrady i filmu – Z. Merle, K. Kowalewskiego, J. Turka czy H. Banaszak.

W 2003 r. S. Tym przyjechał do Zielonej Góry, by zagrać w filmie Władysława Sikory „Baśń o ludziach stąd”, w którym swoje role mieli też Maciek Stuhr oraz Robert Górski z Kabaretu Moralnego Niepokoju. Co ciekawe, S. Tym w całym filmie zagrał tyłem do kamery. Zdjęcia odbywały się w opuszczonych halach Polskiej Wełny, na ulicach Winnego Grodu i na wysypisku śmieci w Raculi.

Rok później kabaret Ciach dostał propozycję występów w USA. Organizator postawił jednak warunek, że ma przyjechać też jakaś gwiazda estrady bardziej znana amerykańskiej Polonii. Zaproponowano S. Tyma, a on z radością przyjął propozycję, ale pod

warunkiem że pojedzie też Z. Merle. I tak w październiku cała ekipa wylądowała na lotnisku Kennedy’ego. Występy odbywały się w Nowym Jorku i jego okolicach, potem w Detroit, a zakończyły się w Chicago. Dwutygodniowa trasa obfitowała w śmieszne sytuacje, które najczęściej prowokował S. Tym. Podczas dwóch ostatnich spektakli w Copernicusie, gdzie zgromadziła się ponad dwutysięczna widownia, a stres przed występem sięgał zenitu, artyści nagle usłyszeli głos S. Tyma z garderoby: „Chodźcie tu do mnie wszyscy natychmiast, biegiem!”. Gdy wszyscy przyszli, ten spokojnym głosem powiedział: „Patrzcie, jak się przebieram”.

Takimi anegdotami można by obdzielić kilka osób. Do legendy przeszły opowieści zyciorysu S. Tyma, np. jak wyrzucili go ze szkoły aktorskiej. Do łez bawi anegdota, jak idąc do swojej ciotki na imprezę, myślał całą drogę, że nie może przyjść ot tak po prostu. Jej dom stał na obrzeżach miasta, tuż przed nim S. Tym rozebrał się do naga, a ubranie schował w pobliskich zaroślach. Zadzwoił dzwonkiem przy furtce, po chwili ciotka i kilku gości stanęło w drzwiach. S. Tym zaczął podniesionym głosem mówić, że właśnie został napadnięty i okradziony. „Zabrali mi wszystko, nawet gacie!” – lamentował. Zebrani złorzeczyli głośno i z oburzeniem, a gdy chcieli dzwonić już na milicję, S. Tym przyznał się do swojego wygłupu.

Był znany z miłości do zwierząt, szczególnie do psów. W swoim domu w Zakątach miał ich całe stado, były traktowane jak członkowie rodziny. Będąc na wakacjach na Cyprze, spotkał bezdomnego psa, którego postanowił zabrać do Polski. W tym celu udał się na

lotnisko i dogadał z kapitanem samolotu. Mały podróżnik oczywiście dostał imię Cypr i biegał po całym Zakątach z innymi psami.

Będąc u niego na Suwalszczyźnie zapytałem, czy rzeczywiście posiada łóżko Marii Konopnickiej. „Chodź, to ci je pokażę” – powiedział. Weszliśmy do pokoju, gdzie stało rozłożone metalowe łóżko z przełomu XIX i XX wieku. Chwilę na nie patrzyłem i w końcu nieśmiało zapytałem, czy to oryginał. „No przecież falsyfikat bym ci nie pokazywał” – odparł. Gdy czasem jadąc na jakiś występ, byliśmy lekko spóźnieni, S. Tym zawsze mówił: „Spokojnie, bez nas nie zaczną”. Podobnie pocieszał na próbach reżyserkę naszych spektakli kabaretowych, Beatę Harasimowicz, mówiąc: „Co się denerwujesz? Przecież to dopiero jutro, i to wieczorem!”.

S. Tym był człowiekiem niezwykle inteligentnym, dbał o czystość mowy polskiej. Zawsze zwracał uwagę na błędy językowe. Był czytany, miał dużą wiedzę z różnych dziedzin, był wielkim fanem astronomii, lubił popisywać się wiedzą z chemii. Bardzo interesowała go polityka i często w swoich felietonach krytykował poczynania rządzących. Gdy w 2000 r. Andrzej Wajda odebrał Oscara z rąk Jane Fondy, wygłosił przemówienie: „Będę mówił po polsku, bo chcę powiedzieć to, co myślę, a myślę zawsze po polsku”. Te słowa napisał mu S. Tym, którego wybitny reżyser poprosił o przysługę.

S. Tym zasługuje na biografię, może nawet ulicę w Zielonej Górze, był to bowiem człowiek nietuzinkowy i niebanalny, czasem śmiertelnie poważny, czasem zabawny do granic absurdu. Zmarł 6 grudnia 2024 r. w wieku 87 lat.



### PRZEKAŻ 1,5 PROCENT

Każdy może wesprzeć  
**Towarzystwo Miłośników  
Zielonej Góry „Winnica”**,  
przekazując 1,5% podatku

za 2024 r. za pośrednictwem Związku Lubuskich Organizacji Pozarządowych. W składanym do końca kwietnia 2005 roku zeznaniu podatkowym w rubryce 172, gdzie jest pytanie o numer KRS, proszę wpisać **0000169865**, w rubryce 173 – podać wyliczoną kwotę, z kolei w rubryce 175 Cel szczególnie – wpisać nazwę naszego stowarzyszenia.



Daniel Jung

## Wilk kalwiński

Jednym z trzech wielkich średniowiecznych grünberczyków, którego nazwisko znajduje się w encyklopediach, jest Abraham Schultetus lub Schultes albo Schulte, Schulze, Schulz. W literaturze występuje pod zlatynizowanym nazwiskiem Scultetus. Na okładkach jego książek obok nazwiska jest przydomek Silesius, Grunbergensis lub Grunbergensis Silesius.

Urodził się 24 sierpnia 1566 roku w rodzinie luterańskiej, ojciec był ławnikiem, matka wnuczką grünberskiego burmistrza. Naukę zaczął w miejscowej szkole. Kontynuował ją we Wrocławiu, ale po pożarze w Grünbergu, który strawił majątek jego rodziców, wrócił do rodzinnego miasta. Niebawem wyjechał do Freystadt (Kozuchów), gdzie został nauczycielem dzieci burmistrza. Görnitz to kolejne miejsce, gdzie przebywał grünberczyk. Identycznie jak w Kozuchowie udzielał lekcji i sam się kształcił. Z Görnitz pojechał na studia matematyki, anatomii, etyki i teologii do Wittenbergi. Tam napisał pracę przedstawiającą życie i nauczanie ojców Kościoła od czasów apostołskich do soboru w Nicei. Kiedy dzieło ukazało się drukiem, został zaliczony do szerokiego grona autoritetów teologicznych. Miał dopiero 22 lata. Protektorzy wysłali go na studia do uczelni kalwińskiej w Heidelbergu, co przesądziło o jego związku z ewangelizmem reformowanym.

W późnym średniowieczu centrum nauki kalwińskiej była akademія w Heidelbergu. Palatyn reński, jej współzyciel, tę wiarę wyznawał, a obowiązywała zasada: czyja władza, tego religia. Zanim Scultetus objął uniwersytecką katedrę badań nad Starym Testamentem, był pastorem w podheidelberskim Schriesheim. W 1595 r. dostał się na dwór palatyna. Jako członek konsystorza reńskiego został spowiednikiem elektora. Był do tego stopnia człowiekiem zaufanym na dworze elektora, że w imieniu władcy wizytował księstwo i podejmował decyzje głównie dotyczące edukacji.

Poprzez małżeństwo władcy księstwa Fryderyka V z Elżbietą palatyńską linia Wittelsbachów związała się z angielskimi Stuartami. Sprawcą tego związku mógł być Scultetus. Na pewno miał ogromny

wpływ na decyzje podejmowane przez palatyna. Otrzymał tytuł profesora teologii na heidelberskim uniwersytecie. Pisał rozprawy naukowe, które do dziś zajmują ważne miejsce w chrześcijaństwie kalwińskim. Zbierał materiały do pracy na temat stulecia wyznania protestanckiego. Jemu przypisuje się pomysł ustanowienia Święta Reformacji. Gdy idea dotarła do Wittenbergi, tamtejsi teolodzy zaapelowali do elektora saskiego o ustanowieniu obchodów jubileuszowych na dnię od 30 października do 2 listopada 1617 r.

Jagiellonowie zawarli układ z Habsburgami, z którego wynikało, że w przypadku wygaśnięcia czesko-węgierskich Jagiellonów na tronie zasiądzie władca austriacki. Kiedy bezpotomny Ludwik Jagiellończyk poległ pod Mohaczem, na tron praski wstąpił katolik Ferdynand I Habsburg. Władca ograniczył swobody religijne protestanckich Czechów i przywileje stanowe, co doprowadziło do wystąpień. Protestanci wdarli się na zamek hradczański

i wyrzucili przez okna namiestników nowego króla. To było przyczyną wybuchu wojny trzydziestoletniej 1618-1648. Wtedy stany będące pod wpływem protestantów wybrały na tron palatyna reńskiego Fryderyka V.

Jesienią 1619 r. spora część dworu palatyna znalazła się w Pradze. Razem z Ferdynandem przyjechał Scultetus, który na Hradczanach poczuł się jeszcze bardziej pewnie niż w Palatynacie. W Wigilię 1619 r. kazał wyłamać drzwi do katedry Świętego Wita na Hradczanach, która była kościołem zamkowym, i zniszczyć wszystko, co było ważne dla katolików. Jego wysłannicy nawet splądrowali grób świętego Jana Nepomucena. Potem rozkazał zburzyć ołtarz Maryjny, arcydzieło powstałe w pracowni Lukasa Cranacha Młodszego. Scultetus wychodził z założenia, że skoro władca jest protestantem, to nie powinno być w kraju niczego, co katolickie.

Na pomoc katolickim Czechom ruszyły wojska habsburskie, wsparte przez oddziały bawarskie, hiszpańskie i polskie. Protestancką armię pod dowództwem księcia Anhalt-Bernbur pobiły na Białej Górze. Zdeponowany Ferdynand V przeszedł do historii Bohemii jako król zimowy. Władca najpierw uciekł do Wrocławia, a potem do Holandii. W 1623 r. cesarz pozbawił go tytułu elektorskiego. Nie będzie przesadą wyciągnięcie następującego wniosku: w doprowadzeniu do bitwy na Białej Górze miał udział Scultetus.

Wilk kalwiński, jak nazwał Scultetusa nieznanymi z imienia kronikarz czeski, zatrzymał się w Grünbergu. Chciał wrócić na uczelnię w Heidelbergu, ale popadł w niełaskę nowego władcy Palatynatu Reńskiego. Chciał być bliżej dworu. Został odtrącony. Dopiero w 1622 r. dostał posadę kaznodziei w Emden we Fryzji, gdzie 24 października dwa lata później zmarł.



Abraham Scultetus – 1566-1624

Marian Bugajski

# Pamięć emeryta bywa zawodna

Nigdy się nie zastanawiałem, co mnie tu przywiodło i dlaczego akurat tutaj. Mieszkałem sobie w Zielonej Górze i już. A potem w Wilkanowie, które miało być wsią; i do pewnego momentu chyba było, chociaż dziwna to wieś, gdzie nie słychać kogutów, gdzie nie pachnie mlekiem i nie słychać klekotu klepanych kos...

Zastanawiam się teraz, jak porządkować wspomnienia? Jak porządkować coś, co z natury rzeczy uporządkowane nie jest? Może lepiej by było pisać o wspomnieniu, o tym, co przywołuje nasza pamięć pod wpływem różnych bodźców.

Przy nazwie tego archaicznego już narzędzia trzeba by wstawić przypis, bo kiedyś wnuk mnie zapytał, co to jest kosa? i co to jest klekot? i po co się klepie kosę? Nie będę tu opisywać tego narzędzia ani wyjaśniać zasad jego używania i funkcjonowania. Wspomnę jednak, że mam też sierp „tatkowy”, odziedziczony po ojcu, i sieczkarnię, czyli urządzenie do robienia sieczki, ale też nie będę się nad nimi rozwodzić.

Kosa – narzędzie do ścinania zboża i trawy... Tak się zaczyna definicja w Słowniku Witolda Doroszewskiego, jednego z największych autorytetów w dziejach polszczyzny, którego jeszcze jako student miałem zaszczyt poznać osobiście i który całkiem nieświadomie wywarł wpływ na moją uniwersytecką karierę. Trawa – owsem; wiadomo jak wygląda trawnik, a zboże?

Kosę dziadek ma w budzie na narzędzia, wyciąga ją czasami, nalewa benzyny, pociąga za taki sznur i wtedy ona warczy, jeździ po trawniku i wysypuje drobno posiekaną (jak szczypiorek) trawę. I to ładnie pachnie. Tak trawa skoszona pachnie pięknie jak majowy poranek... jak garaż dziadka, w którym trzyma on auto i motocykl. Trochę ten zapach przypomina woń sychacza, który utknął w górze gliny niedaleko pod lasem i podobny jest do czółgu na rynku w Ścinawie (*Wiecznaja sława gierojam...*) mającego po wieki wieków sławić bohaterską armię.

Znam na pamięć tekst z pomnika, bo wiele razy przejeżdżałem tamtędy (przeważnie wczesnym rankiem)

z Wołowa, gdzie mieszkali moi rodzice, do Zielonej Góry na zajęcia w WSP, ale kiedyś pomnik zniknął, może przestawiony, bo nie mógł stać w tak ekspozowanym miejscu, może zaś po prostu poszedł na złom. Nie ma nic wiecznego, chociaż był czas, kiedy wydawało mi się, że czasy słusznie minione nigdy minione nie będą. Ale się myliłem (i dobrze), a teraz jako emeryt obserwuję nowe (nowsze, najnowsze?) i jakoś nie potrafię policzyć tych minionych. Cóż, pamięć emeryta bywa zawodna. Na te najnowsze czekałem osiem lat i mam nadzieję, że kiedyś nadejdą takie czasy, których wszyscy oczekiwali i które będą wspólne dla wszystkich. Pewnie jestem naiwny.

**Mieszkaliśmy przy ulicy Prostej w domu w całości zasiedlonym przez pracowników naukowych, stąd jego nazwa Mądralin.**

A zboże rośnie na „zbożniku” i kosa do niego jest większa niż ta do trawników, ma olbrzymie koła i coś, co zgarnia to zboże, pożera je i wyrzuca złociste ziarenka do karmienia ptaków, bo ludzie zboża nie jedzą. Ludzie jedzą chleb i masłko, a biorą je ze sklepiku...

I tak próbowałem wspólnie z wnukiem zrozumieć wieś, której nie było, ale były zaczątki podmiejskiego osiedla. Na tym osiedlu

**wybudowaliśmy z Basieńką dom.**

Domek raczej – nieduży, dla trzech osób, bo Basieńki tato miał z nami mieszkać. Niestety nie doczekał...

Do Zielonej Góry ciągnął mnie jakiś instynkt pierwotny, lasy, jeziora, grzyby,

ryb nie lubię łowić, ale czasami musiałem, bo zaprzyjaźniliśmy się z profesorem Wojciechem Pasternikiem. Mieszkał on w Zielonej Górze i miał domek letniskowy nad Jeziorem Chobienickim.

Jeździliśmy tam z Basieńką, Radkiem i Bogdanem (to moi synowie) samochodem marki Syrena, w którym oprócz namiotów koców, dmuchanego kajaka i wszelkiego sprzętu potrzebnego do bieżących kontaktów z przyrodą mieściła się nasza suka Aza. Niewiarygodnie mądra i przywiązana, zapewniała nam poczucie bezpieczeństwa, gdy nocami siedzieliśmy na polanie przy ognisku, czerpiąc z prof. Pasternikiem energię kosmiczną z wygwieźdzonego nieba. Profesor miał w sobie coś z szamana, gdy tą energią nasycił pieczone ziemniaki.

Zielona Góra to miasto polana, ponad 50 procent powierzchni województwa zajmują lasy; i dużo jezior, a mnie (choć nie mam nic z wilka) zawsze ciągnęło do lasu. Zdarzało mi się, że w przerwach między zajęciami jeździłem na grzyby. Właściwie to nawet nie trzeba było jeździć, bo las był tuż za oknami WSP. A po zajęciach (gdy dorobiłem się prawdziwego samochodu) często jeździłem nad pobliskie jezioro Dąbie, gdzie pływałem kajakiem. Kajak zaś woziłem w bagażniku.

Studiowałem polonistykę we Wrocławiu, moja żona jest wrocławianką, a Wrocław jest pięknym miastem, ale to miasto nie do życia – za duże i zbyt ruchliwe. Ruchliwe właśnie. Dlatego rozglądaliśmy się za jakimś spokojniejszym, bardziej przytulnym i mniej energochłonnym. Robiłem doktorat, potem habilitację, miałem dwóch synów, psa i samochód marki Syrena; niezbyt wygórowane zarobki, oboje z Basieńką pracowaliśmy na uniwersytecie.

Byłem asystentem stażystą, asystentem, starszym asystentem, adiunktem,



fot. Kazimierz Adamczewski, archiwum UZ

**MARIAN BUGAJSKI** – rocznik 1949, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, prof. dr hab., językoznawca i medioznawca, emerytowany nauczyciel akademicki Uniwersytetu Zielonogórskiego, członek Rady Języka Polskiego przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk, autor między innymi prac naukowych z zakresu językoznawstwa i tomików poetyckich.

prowadził mnie przez wertepy kariery akademickiej prof. Antoni Furdal. Pisałem pod jego opieką pracę magisterską, doktorską; on mi podsunął też problematykę, którą zajmowałem się w pracy habilitacyjnej.

Językoznawstwo polonistyczne we Wrocławiu to była właściwie historia lingwistyki, uczeni lingwiści tkwili mocno korzeniami w teorii młodogramatycznej, wykłady z językoznawstwa przesycone były jerami, rekonstrukcjami, ewolucją poszczególnych deklinacji, rozwojem koniugacji, rozwojem języka; podstawą studiów była gramatyka historyczna. Dość powiedzieć, że na egzaminie magisterskim musiałem się wykazać znajomością zawiloci piątej deklinacji prasłowiańskiej i jej ewolucją w językach słowiańskich.

Trzeba jednak przyznać, że lingwistyka diachroniczna miała swoje uroki i jakoś tak pasowała do miejsca, w którym była wykładana, w budynku przy ulicy Grodzkiej 12, zabytkowej budowli z 1911 roku, dobudowanej do kompleksu szesnastowiecznego klasztoru. Była to siedziba Katedry Języka Polskiego utworzonej po wojnie przez Stanisława Rosponda, jednego z najwybitniejszych polskich językoznawców. Miałem szczęście i zaszczyt słuchać jego wykładów, a potem jako asystent pracować z profesorem i zgłębiać wiadomości z onomastyki, bo profesor Rospond szczególnie upodobał sobie nazewnictwo. Nic w tym dziwnego, bo

istniała potrzeba repolonizacji nazw na tzw. Ziemiach Odzyskanych.

Antoni Furdal przybył do Wrocławia jako bywały w świecie docent i prowadził seminarium na tematy bardzo odległe od deklinacji prasłowiańskich. Imponowała mi jego wiedza, przenikliwy umysł i manieri. Za jego sugestią zająłem się terminologią poligraficzną, co budziło zdziwienie nie tylko Stanisława Rosponda, ale i starszych kolegów.

**Na co dzień z zarobków adiunkta nie mogłem sobie pozwolić na jedzenie w eleganckich restauracjach, więc ruskie konsumowałem w Mrowisku.**

W tych czasach (i do dzisiaj tak jest) profesorowie pracowali w kilku (z reguły dwóch) miejscach. Mój promotor przez pewien czas nawet chyba w trzech. W latach siedemdziesiątych nawiązał kontakty z Zieloną Górą i w instytucie, którym kierował prof. Wojciech Pasterniak prowadził wykłady z językoznawstwa ogólnego. Trwało to chyba ze dwa lata, a gdy dostał propozycję atrakcyjniejszej pracy, zaproponował mi te zajęcia. Moje z nim kontakty były wtedy częstsze, ale krótsze, bo dużo czasu zajmowały podróże koleją,

bywało, że spotykaliśmy się w poczekalni dworcowej i tam omawialiśmy ważne kwestie związane z wykładami czy z prowadzonymi badaniami. A wykłady z reguły przygotowywałem (za radą Antoniego Furdala) w pociągu, chociaż nie zawsze to było możliwe z powodu... Na koleje zawsze można narzekać. Nie robię tego, gdyż właśnie na kolejach spędziłem trochę czasu, ale dworce rozpoznaję do dziś po zapachu.

Do Zielonej Góry przyjechałem pociągiem relacji Przemyśl – Szczecin, który swoją trasę pokonywał albo całą dzień (dwanaście godzin) bądź całą noc (14) w zależności od tego, w jakim kierunku jechał.

Szczecin to pociąg legenda – legenda, która nie ma końca (Niekończąca się opowieść). Jeździ on do dzisiaj i po licznych remontach, przebudowach trakcji, torowisk, dworców i peronów dalej kursuje tyleż wytrwale, co dostojnie, a doba kolejowa trwa w nim 26 godzin.

Wysiadłem z pociągu i poczułem zapach niedużej i nie wiem, czy przytulnej stacji kolejowej Zielona Góra. Nie będę opisywać tego zapachu, bo to trudne i mało przyjemne. Był początek jesieni i późny wieczór, poprosiłem taksówkarza, żeby mnie zawiózł do jakiejś restauracji i znalazłem się w najlepszym wtedy lokalu w mieście. Dlaczego taksówkarz twierdził, że to najlepsza restauracja, nie mam pojęcia, ale to były dawne czasy i kategoryzacja

tych obiektów rządziła się jakimiś nikomu nieznanymi prawami.

Kelner oznajmił, że kuchnia nieczynna, ale barszcz mogą zamówić, bo nic innego nie ma i w drodze wyjątku wódkę. Dlaczego w drodze wyjątku? Bo konsumpcja jest obowiązkowa i napoje alkoholowe podajemy tylko z zakąską, ale zupa to nie jest zakąska; można też dyskutować, czy czerwony barszcz to jest zupa. Uznałem, że lepiej nie dyskutować, wypłem więc kieliszek wódki, nie wiem jednak, czy nie popełniłem wykroczenia, naruszając obowiązek konsumpcji. Po kilku minutach znowu zjawił się kelner z pytaniem, czy mam jeszcze jakieś życzenia, wypiliśmy więc jeszcze dwie wódki; konsumpcyjnego obowiązku już nie wypełniałem, bo elegancko w wyszukanej filiżance podany barszcz okazał się zupą pomidorową. A kelnera spotykałem jeszcze w innych restauracjach i zawsze mnie zaszczycał swoim towarzystwem i rozmową. Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na jego łaskawość, ale i ze względu na okoliczności i na menu była to najosobliwsza w moim życiu kolacja.

Na co dzień z zarobków adiunkta nie mogłem sobie pozwolić na jedzenie w tak eleganckich restauracjach, więc ruskie konsumowałem w barze mlecznym w Mrowisku. Ten relik (bar oczywiście) istnieje do dzisiaj, i ma się dobrze, a ruskie nazywane czasami ze względów dyplomatycznych (wschodnimi, domowymi, chłopskimi) nie tylko w barach mlecznych cieszą się niezmiennym powodzeniem.

Bar mleczny w czasach słuszne mianionych było to miejsce nader osobliwe, mocno hałaśliwe; przy czym źródłem hałasu były szorowane w kuchni gary, myte ręcznie naczynia i sztucce, a panie, które te czynności wykonywały, omawiały już to wrażenia minionej nocy, już to kompetencje pedagogiczne przedszkolank, czasami geografię zaopatrzenia miasta, czasem zaś komentowały filmy i urodę aktorów. Za ladą stała wyróżniająca się obfitą urodą osoba płci żeńskiej, która donośnie wzywała konsumentów, by odbierali zamówione potrawy: ruskie z tłuszczem, kaszę z sosem, leniwe, śląskie, naleśniki, łazanki, bigos, szczawiową, pomidorową...

Personel barowy był z reguły żeński, ale do dzisiaj uważam, że każda placówka zbiorowego żywienia musiała zatrudniać ślusarza, bo ludzie kradną. Ale co można ukraść w barze? Oczywiście zastawę stołową, w tym sztucce, szczególnie zaś noże, ale po co ślusarz? Ano po to, żeby aluminiowe z reguły akcesoria stołowe chronić przed kradzieżą. Noże nacinano więc, lub obcinano im czubki ostrzy, widelce przed użyciem zazwyczaj pozbawiano jednego zęba, a w łyżkach wiercono dziurki i od zmyślności konsumenta zależało, jak sobie poradzi z rzadką zupą – gęstych zresztą nie było, gęsty zaś kapuśniak to już był bigos. Tzw. zbiorowe żywienie, i w ogóle wyżywienie w czasach peerelu to zupełnie oddzielny temat.

### Na stałe związałem się z Zieloną Górą w 1992 roku,

**Ostatnio przy wjeździe na Przylesie postawiono piękną tablicę z nazwą ul. Osiedle Przylesie, i co ma zrobić językoznawca? I czego się czepia, przecież tak miało być „Przylesie”, a nie „Przy Lesie”.**

na początku wielkich przemian społecznych, wcześniej pracowałem tu albo na godzinach, albo na pół etatu, w końcu zaś na drugim etacie. Nie będę wyjaśniać nomenklatury i zawiłości systemu zatrudnienia, dość, że w szkolnictwie wyższym tzw. pierwszy etat uprawniał do awansów naukowych i pełnowymiarowego kształcenia na poszczególnych kierunkach. Tak czy inaczej ówczesny rektor postawił mi ultimatum: albo przechodzę na pierwszy etat na stanowisko profesora, albo rezygnujemy ze współpracy.

Jego Magnificencja Rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej prof. dr hab. Jerzy Baksalary był człowiekiem stanowczym i dążył do utworzenia uniwersytetu, a uniwersytet to przede wszystkim profesorem. Kupował więc kadrę. W tym „kupował” nie ma nic

niestosownego, ustanowił bowiem dodatek zielonogórski jako zachętę finansową, i zapewniał stosowne mieszkanie, bo nie można pracować w pociągu.

Zazwyczaj unikam pytań i odpowiedzi o zarobki w WSP im Tadeusza Kotarbińskiego, ale było to godziwe wynagrodzenie, i do dziś wzbudza zawiść osób, które za marne pieniądze pracowały na renomowanych uniwersytetach. Pracowałem jeszcze przez jakiś czas na Uniwersytecie Wrocławskim i jednocześnie pisałem pracę habilitacyjną. Było to trudne, bo przede wszystkim trzeba było w działalności naukowej uwzględnić rozkład jazdy PKP. Basienka też pracowała, mieliśmy dwóch synów później jeszcze psa, kota, papugi, chomiki, świnki morskie, rybki, patyczaki i wszystkie inne możliwe do nabycia stworzenia.

Naprawdę, jeśli ktoś nie wierzy, niech zapyta naszych sąsiadów, zaś suka Aza polubiła JMR Jerzego Baksalarego, a szczególnie jego służbowy nowiutki samochód, do którego wsiadała bez żadnego pozwolenia, a zęby miała ostre. Nie przepadał za nią rektor, inni koledzy profesorowie (i koleżanki) też, bo szczekała. To szczekanie jednak uratowało nas od kradzieży (w budynku, w którym mieszkaliśmy, było kilka włamań), więc Aza popadła już zupełnie w niełaski, bo wtedy akurat nie szczekała.

Mieszkaliśmy przy ulicy Prostej w domu w całości zasiedlonym przez pracowników naukowych, stąd jego nazwa Mądralin. Ten budynek – taki trzypiętrowy z dwiema klatkami schodowymi – to był typowy blok mieszkalny zbudowany z wielkiej płyty, wzniesiony przez poprzedników Jerzego Baksalarego, którzy jakoś tak – nie wiem, dlaczego pasowali do tej klatkowo-szufladkowej konstrukcji.

A Jego Magnificencja Rektor miał niepospolitą fantazję i takie kolorowe sny. Wyśnił sobie domy kolorowe i takie też zbudował. Szokowały tak jak i Magnificencja; dziś już trochę przybladły jak pamięć o nim. Ale trwają.

Potrafił JM zarabiać pieniądze, wydawać je na zbożne cele też. Jako pierwszy w Polsce rozpoczął odpłatne kształcenie studentów. Za jego czasów widoczny stał się postęp

w wyposażeniu uczelni w nowoczesny sprzęt biurowy, skomputeryzował WSP, stworzył wewnątrzuczelnianą sieć; wydał nawet zarządzenie o elektronicznym obiegu dokumentów, które jednak długo nie mogło się doczekać urzeczywistnienia, bo brakło chęci i umiejętności. Dumny był ze... stołówki, którą wyposażył w urządzenia klimatyzacyjne i uważał, że jest to jedyna w Polsce taka jadłodajnia.

Długo by wymieniać i opisywać wszystkie zasługi Jego Magnificencji Rektora prof. dra hab. Jerzego Baksalarego, których zwyczajnie mu zazdrośczone, dla uczelni i miasta, i całego regionu. Wszyscy zgodnie jednak podkreślali, że WSP to największy pracodawca w regionie i także największa kształcąca 25 tys. studentów uczelnia. Baks to był wielki uczonek i barwna, nie pozbawiona wad, postać. Miał przyjaciół i wrogów, skonfliktował się z dziennikarzami, których uważał za ignorantów, ale jednocześnie uważał, że w nowej rzeczywistości potrzebne są studia dziennikarskie, postanowił więc utworzyć na uczelni kierunek dziennikarski. Łatwe to nie było, bo kto miałby tych dziennikarzy kształcić. Dotychczas istniały tylko podyplomowe studia dziennikarskie i kończyli je głównie poloniści. Między innymi dlatego studiowałem filologię polską, ale niestety w mojej pracy magisterskiej promotor Antoni Furdal dopatrywał się cech naukowych, została ona opublikowana w postaci książkowej i nagrodzona przez samego ministra. Los więc zdecydował, że otrzymałem posadę asystenta na Uniwersytecie Wrocławskim i skończyły się marzenia o dziennikarstwie, chociaż ten zawód zawsze mnie przyciągał i przez długi czas pracowałem w radiu studenckim, a później miałem liczne kontakty z mediami, szczególnie z radiem w Zielonej Górze.

Tworzyłem więc dziennikarstwo w WSP, a później na Uniwersytecie Zielonogórskim. Nie będę tu wspominać ani opisywać formalno-technicznych uwarunkowań tego przedsięwzięcia, wspomnę tylko, że zawsze budziło ono opór w środowisku akademickim. Może dlatego, że studia były bardzo atrakcyjne, może dlatego, że wywołały pewne poruszenie także w środowisku

medialnym, które mnie zaakceptowało i z którym współpracowałem, prowadząc i studia, i organizując przedsięwzięcia popularyzujące kulturę języka. To na wniosek dziennikarzy otrzymałem w 2000 r. nagrodę naukową prezydenta miasta, z rekomendacji Stowarzyszenia Dziennikarzy RP byłem nominowany do Nagrody Kulturalnej Marszałka Województwa Lubuskiego. Jestem też honorowym członkiem SDRP.

### **Zielonogórzaninem w sensie formalnym byłem krótko.**

Stałe zameldowanie miałem przy ulicy Prostej, ale traktowaliśmy to mieszkanie jako przejściowe i szukaliśmy jakiegoś niedużego domu na wsi. W końcu wybudowaliśmy dom w Wilkanowie. Dom powstał na pełnym pustkowiu na zapuszczonym kartofli-sku, które zmyślny (dzisiaj mówimy) deweloper nabył od gminy, podzielił na działki, posprzedawał je i zaczął budowę osiedla. W latach dziewięćdziesiątych powstawało takich osiedli dość dużo, ale mało które doczekało się pełnej realizacji. Nasze Przylesie nie było wyjątkiem, chociaż wprowadziliśmy się już po roku od rozpoczęcia budowy, ale zanim swój pobyt tutaj zalegalizowaliśmy, minęło jeszcze kilka lat.

Do budowy domu namówił nas sąsiad, nieżyjący już profesor Janusz Gil, który miał doświadczenie w budownictwie jednorodzinnym, gdyż próbował już swoich sił jako inwestor w innym miejscu, niestety przedsięwzięcie mu się nie powiodło, bo takie to były czasy. Osiedle Przylesie powstało w Wilkanowie i jest to po prostu część (chyba 60 domów) Wilkanowa.

Trzeba tu dodać nową część wioski? A stara jest tam, gdzie sklep – u podnóża góry wilkanowskiej. Przy drodze na Żary. Tutaj trzeba skrócić w prawo, mniej więcej za sto metrów w lewo i jest wjazd na osiedle.

Ale to jeszcze nie cała topografia – po lewej stronie szosy na Żary jest druga strona naszej miejscowości. Po drugiej stronie jest szkoła, a właściwie była szkoła; teraz budynek pełni różne funkcje. Bywa świetlicą, salą wykładową, salą gimnastyczną, lokalem wyborczym

czy miejscem zebrań. Na placu przed nim urządzono coś w rodzaju toru przeszkód z siłownią. Tutaj urządza się spotkania przy piwie i kiełbaskach i... nie wiem, jak to nazwać. Kiedyś się mówiło potańcówka, zabawa taneczna z bufetem obficie zaopatrzoną.

Wspólną cechą wilkanowiaków jest sentyment do miejsca, w którym się zadomowili. Wszyscy bowiem jesteśmy tu przybyszami – ci ze starej części przybyli wcześniej, ci nowi zaś około pół wieku później. Niektórzy jednak sprowadzili się tu z pobliskiej w Zielonej Górze.

Sentyment ten wynika z jakiegoś atawistycznego poszukiwania miejsca zaczeplenia, swojej prastolicy, praojczyzny. Oficjalnie mówi się małej ojczyzny, jednak mnie ten termin się nie podoba. Jest to sentyment do miejsca, które samiśmy zagospodarowali i chyba wszyscy uprawiamy tu winorośl, no i oczywiście chyba wszyscy robimy wino, które ma niezwykłą właściwość – łączy wszystkich, którzy je piją, a tych niepijących też przyciąga, kusząc wonią i barwą.

Nie wiem, kto wymyślił nazwę, ale szybko się ona zaaklimatyzowała i mieszkamy na Przylesiu. Niektórzy urzędnicy by chcieli, żeby to była ulica Przylesie (ortografia polska nie jest łatwa – ul. Przy Lesie). Tak też jest pięknie, zwłaszcza że do lasu mamy pięćdziesiąt metrów.

Ostatnio (kto nie wierzy, nich przyjedzie i sprawdzi) przy wjeździe na Przylesie postawiono piękną tablicę z nazwą ul. Osiedle Przylesie, i co ma zrobić językoznawca? I czego się czepia, przecież tak miało być „Przylesie”, a nie „Przy Lesie”. No może niech jakaś poradnia językowa to rozstrzygnie, albo Rada Języka Polskiego przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk? Tak się składa, że jestem członkiem RJP, a poradnię językową przez lata prowadziłem na Uniwersytecie Zielonogórskim.

Niedługo skończę siedemdziesiąt pięć lat, z których dwadzieścia pracowałem na Uniwersytecie Wrocławskim, resztę zaś, czyli 30 na uczelni zielonogórskiej. Mam więc za sobą co najmniej sto lat pracy... Tak, tak – sto, bo większość czasu byłem zatrudniony na co najmniej dwóch etatach.

## Od jesieni do wiosny

**29** listopada 2024 r. w sali im. Jana Muszyńskiego Muzeum Ziemi Lubuskiej odbyła się gala literacka, zorganizowana przez nasze stowarzyszenie i zielonogórski oddział Związku Literatów Polskich. Podczas uroczystości wicewojewoda lubuski Maciej Siwicki wręczył odznaki honorowe Zasłużony dla Kultury Polskiej, otrzymali je: Roman Czarnecki, Krzysztof Koziółek i Jan Zelek. Laureatem Zielonogórskiej Nagrody Literackiej „Winiarka” został Tomasz Czyżniewski, autor blisko 1200 tekstów o dziejach Zielonej Góry, najpierw zamieszczanych w zielonogórskiej mutacji „Gazety Wyborczej”, potem w wydaniu miejskim „Gazety Lubuskiej”. Obecnie teksty ukazują się „Łączniku Zielonogórskim” w cyklu „Spacerownik Zielonogórski”. Nagrodę zespołową otrzymała drukarnia Ligatura za znakomicie wykonywane prace poligraficzne. W uzasadnieniu kapituła nagrody podała, że „Ligatura to połączenie: tradycji i technologii. Tradycja, bo ciągłość pokoleniowa w zawodzie drukarskim; technologia to najnowocześniejsze rozwiązania z zakresu druku” (więcej s. 29-30). Podczas tej samej uroczystości Katarzyna Grabias-Banaszewska, laureatka zeszłorocznego konkursu na utwór literacki o tematyce zielonogórskiej, otrzymała Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza, przyznaną przez zielonogórski oddział ZLP za zbiór opowiadań „Geranium”. Podczas gali Lubuskich Wawrzynów odebrała Srebrne Pióro za debiut 2024. Książkę wydało nasze stowarzyszenie (czyt. s. 20). Uzasadniając wybór, przewodnicząca kapituły powiedziała, że jest to spojrzenie na problematykę osiedleńczą.

**K**olejna gala odbyła się 5 grudnia 2024 r. Wtedy w sali Witrażowej MZL zebrał się zielonogórzanie ciekawi, kto został Przyjacielem Zielonej Góry. Tytuł, statuetkę i dyplom otrzymał artysta malarz Adam Bagiński (czyt. s. 1) i zbiorowo Centrum Medyczne „Aldemed” (str. 40). W przyszłym roku Aldemed będzie obchodziło swoje 30-lecie. Podczas uroczystości jego twórca Ryszard Szcząchor przypomniał, że zaczął od dwóch gabinetów przy al. Niepodległości 1. Obecnie zajmuje całą kamienicę, ogromny budynek przy Towarowej 20, ma też filię na os. Śląskim. Jego nazwa pochodzi od pierwszych liter specjalizacji dr. Szcząchora, który jest alergologiem i dermatologiem.

**23** autorów z całego kraju i zagranicy nadesłało 14 opowiadań i 24 wiersze na organizowany przez nas 10 Konkurs literacki o tematyce zielonogórskiej. Nagrodę główną komisja przyznała Ewie Wierzbickiej ze Stalowej Woli za opowiadanie „Sonata” (czyt. s. 12-15), wyróżnienia Aleksandrze Rybczyńskiej z Świebodzina za utwór poetycki „(Nie)winne haiku” (czyt. s. 16) i Dorocie Sygule z Mysłowic za opowiadanie bez tytułu. Uehonorowanie autorów odbyło się podczas gali literackiej w listopadzie 2024 r., zorganizowanej wspólnie z zielonogórskim oddziałem ZLP.

**O**d 2022 r. nasze stowarzyszenie organizuje comiesięczne spotkania w ramach cyklu Rozmowy o Zielonej Górze. Prelegentami podczas pierwszych spotkań byli autorzy „Historii Zielonej Góry”, trzypomowej opowieści o tym, co się działo w mieście od jego założenia. Po przeniesieniu spotkań z Muzeum Ziemi Lubuskiej do biblioteki Norwida

prelegentami byli inni znawcy problemów. Ostatnie w 2024 r. dotyczyło historii Radia Zachód. Pierwsze w 2025 r. było spotkaniem ze znawczyniami Zielonej Góry w sztuce.

**P**rezes naszego stowarzyszenia Ryszard Błażyński otrzymał Nagrodę Kulturalną Marszałka Województwa Lubuskiego 2024. W uzasadnieniu podano, że „Jest jedną z najwybitniejszych postaci naszego regionu, działającej na rzecz tworzenia tożsamości naszego młodego województwa”.

**C**złonkini naszego stowarzyszenia prof. dr hab. Bogumiła Burda została pełnomocniczką wojewody lubuskiego do spraw równości kobiet i mężczyzn. Jej głównym zadaniem jest ochrona przed dyskryminacją ze względu na płeć we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

**P**odczas gali Lubuskich Wawrzynów Izabela Korniluk otrzymała nagrodę rektora UAM za najlepszą książkę popularnonaukową 2024. To „Hegemonia Zastalu”, której współwydawcą jest nasze Stowarzyszenie.

**T**roje autorów związanych z Uniwersytetem Zielonogórskim, wśród nich dr Alina Polak-Woźniak, przygotowało monografię „Aktywność społeczna mieszkańców Zielonej Góry. Studia przypadków”. Rozdziały napisane przez członkinię naszego stowarzyszenia dotyczą działalności między innymi Ruchu Miejskiego Zielona Góra i wielu organizacji pozarządowych zaangażowanych w odrodzenie tradycji regionalnych, na przykład winiarskiej. Książka ukazała się w poznańskim wydawnictwie naukowym FNCE.

**W**arszawskie wydawnictwo Czarna Owca wydało trzecią powieść Przemysława Piotrowskiego z serii, której bohaterką jest Lutoslawa Karabina, kiedyś żołnierka elitarniej jednostki. „Ostatni taniec” to opowieść o tym, że bohaterka na polecenie rosyjskiego wywiadu wojskowego zostaje zmuszona do likwidacji przewodniczącego Komitetu Wojskowego NATO. Książka ukazała się w wersji papierowej (376 s), elektronicznej i jako audiobook, który czyta Filip Kosior. P. Piotrowski należy do najpopularniejszych polskich pisarzy.

**W**iceprzewodniczącą Rady Kobiet Województwa Lubuskiego została dr Monika Kaczmarczyk.

**W**zielonogórskim wydawnictwie Manufaktura Tekstów ukazała się 26 książka literacka Krzysztofa Koziółka „Już nie żyjesz” (314 s). Na stronie zatytułowanej znajduje się informacja: „Powieść powstała bez udziału sztucznej inteligencji”. Powieść wyszła również jako e-book.

**P**oznańskie wydawnictwo Labreto wydało 11 powieść Aldony Reich „Erem”. Wersja papierowa ma 312 stron. Ukazał się też e-book i audiobook w interpretacji Modesta Rucińskiego. Tą książką zielonogórzanka zainaugurowała serię powieści, której bohaterem jest Witold Darasz, podinspektor policji zdegradowany do stopnia aspiranta.

**W**ydana w 2021 r. powieść Aliny Polak-Woźniak i Iwony Mejzy „Zabójcze ajlawiu” w wersji papierowej i elektronicznej, ukazała się jako audiobook. Książkę czyta Anna Dereszowska, co zajmuje jej 7 godzin i 55 minut.



# ZIELONA GÓRA



fot. Daniel Jung

## Jak mała przychodnia stała się wielkim Centrum

Data otwarcia Centrum Medycznego „Aldemed” to 29 lutego 1996 roku. Tak więc za rok Aldemed będzie świętował swoje 30-lecie. Czy w 1996 r., gdy prywatna ochrona zdrowia dopiero raczkowała, ktoś wierzył, że ten projekt się powiedzie?

Z pewnością wierzył lekarz medycyny Ryszard Szcząchor, założył i właściciel Aldemedu. Na początku placówka zajmowała zaledwie jedno piętro pięknej kamienicy przy al. Niepodległości. Obecnie zajmuje całą kamienicę i ma filie przy ul. Towarowej i na os. Śląskim.

Od chwili otwarcia firma prężnie się rozwijała i już po kilku latach rozbudowano siedzibę przy zielonogórskim deptaku. Powstał nowy budynek z windą, bezpośrednio połączony z kamienicą. Następnie Aldemed przekształcił przyzakładową przychodnię lekarską Zastalu Medir w swoją filię Zastal. Budynek zmodernizowano i dobudowano duży, nowoczesny obiekt, w którym miejsce znalazł między innymi blok operacyjny i oddział szpitalny. W tej chwili zabiegi operacyjne wykonują urolodzy, neurochirurdzy, okuliści, laryngolodzy, ortopedzi, ginekolodzy. Pod opieką lekarzy rodzinnych we wszystkich trzech placówkach jest blisko 28 tys. pacjentów z Zielonej Góry i okolic. Kilkudziesięciu lekarzy pracuje w poradniach specjalistycznych i gabinetach diagnostycznych. Prężnie działa zakład rehabilitacji, w ramach którego oprócz rehabilitacji ambulatoryjnej działają dwa oddziały dziennej rehabilitacji ogólnoustrojowej i kardiologicznej. W pracowni endoskopii wykonywane są kolonoskopie i gastroskopie. Nie ma dobrego leczenia bez diagnostyki na nowoczesnym sprzęcie, więc kilka tygodni zmodernizowano kolejny raz zakład radiologii. Został zakupiony nowy aparat rentgenowski, densytmometr do diagnostyki osteoporozy. Cały czas funkcjonuje pracownia mammografii, w której kilkanaście lat temu zielonogórzanki miały wykonywane swoje pierwsze w życiu badania mammograficzne, a kolejka do zapisów wynosiła kilkadziesiąt metrów na zielonogórskim deptaku. Od tej pory mammograf wymieniano już kilka razy, teraz badania robione są na aparacie cyfrowym.

Aldemed rozwija się cały czas. Najbliższe plany to remont i modernizacja zakupionego budynku po starej drukarni, który jest w bezpośrednim sąsiedztwie filii Zastal i zostanie połączony z istniejącymi budynkami.

Remontu doczeka się także zabytkowa kamienica, która mieści się również na terenie filii Zastal. Willa Beuchelta, bo o niej mowa, to nietuzinkowy budynek. Ma bardzo bogatą historię związaną z Zieloną Górą. Wybudowany został w 1876 r. i był domem twórcy zakładów Fabrik für Brückenbau und Eisenkonstruktionen Beuchelt & Co., a po drugiej wojnie Zastalu.

Pomysłodawcą utworzenia Aldemedu jest lekarz medycyny Ryszard Szcząchor, nadal właściciel firmy. R. Szcząchor urodził się w 1951 r. W 1975 r. ukończył Wojskową Akademię Medyczną w Łodzi. Po studiach

pracował jako lekarz wojskowy we Wrocławiu, Krośnie Odrzańskim i Czerwieńsku. W latach 1986-1991 był kierownikiem szkolenia sanitarnego w zielonogórskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Zrobił specjalizację z dermatologii i wenerologii, był jednym z pierwszych w Polsce lekarzy alergologów. Oprócz zarządzania firmą zawsze aktywnie promował Zieloną Górę i region. Organizował zjazdy szkoleniowe i towarzyskie dla lekarzy z całej Polski.

WC



Nagrodę Przyjaciela Zielonej Góry odebrali – twórca Aldemedu Ryszard Szcząchor i prezeska zarządu Monika Szcząchor

fot. Alicja Błażyńska



Filia Zastal – w tym zmodernizowanym budynku oprócz poradni specjalistycznych mieści się oddział szpitalny i blok operacyjny

fot. Archiwum Aldemedu